

ROK V.

CZERWIEC — 1905 RÓK.

TOM VI (XLVIII).

# DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

Filja w Petersburgu, ul. Sadowa Nr. 76 m. 5 u p. Witolda Habdank-Wojewódzkiego.

1905

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 8 іюня 1905 года.

## Treść tomu VI, czerwcowego 1905 r., ogólnego zbioru XLVIII.



1.	O, Przenajświętsza!... Wiersz, odznaczony na konkursie „Dzwonka Częstochowskiego“, przez Zofię Zacharkiewiczównę. . . . .	3
2.	Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego. . . . .	5
3.	Bogarodzica naszą Matką, przez ks. Wł. F. . . . .	15
4.	Dzieje illustrowane klasztoru Jasnogórskiego . . . . .	19
5.	Księga cudów, doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej . . . . .	26
6.	Święci Patronowie i Patronki, opowieści religijne, zebrane przez Michała Synoradzkiego . . . . .	29
7.	Dawne nasze klasztory i świątynie . . . . .	35
8.	Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (z ilustracyami) . . . . .	41
9.	Historya illustrowana Kościoła Świętego Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach . . . . .	52
10.	Sławni dostojnicy Kościoła . . . . .	57
11.	Bazyliśa z Cześnik, opowiadanie z lat dawnych . . . . .	62
12.	Bóg tak chce! Obrazy z czasów Wojen Krzyżowych . . . . .	82
13.	Wolność wiary, przez ks. R. Ant. . . . .	86
14.	Nowiny z Częstochowy: Zielone Świątki. — Mowa wygłoszona przez ks. Jenerała zakonu OO. Paulinów w trzecią rocznicę prekonizacyi ks. biskupa Zdzitowieckiego. — Kompanie . . . . .	95
15.	Nowiny z daleka i z blizka: Wystawa Maryjna w Warszawie.— Z Łukowa, dyecezyi Siedleckiej. — W imię miłości bliźniego.— Z okazji 50-letniego jubileuszu. — Z okolic Koniecpola, powiatu Noworadomskiego. — Z Charbina . . . . .	100
16.	Módlmy się!... (Wiersz, ułożony przez chorego żołnierza w szpitalu charbińskim). . . . .	118

17. Nie zabijaj! . . . . .	122
18. Książki nadesłane do Redakcyi . . . . .	125

## ILLUSTRACYE:

1. Przenajświętsza!... . . . .	1
2. Jezus Chrystus i Samarytanka przy studni. . . . .	9
3. Chiny. Jung-Czeng, podług fotografii. . . . .	39
4. Chiny. Typy mieszkańców Junnanu . . . . .	43
5. Chiny. Bożki i dobre duchy w świątyni pogańskiej . . . . .	45
6. Chiny. Kościół Matki Boskiej Bolesnej w Cze Kiang, podług rysunku księdza-Chińczyka . . . . .	49
7. „Wszyscy wyciągali błagalne dłonie do Gwiazdy Zarannej i wnet każdemu spływała pociecha” . . . . .	65
8. Bazyliśa, wykradająca się z obozu tatarskiego . . . . .	73
9. Kompania z Puchaczewa, dyecezyi Lubelskiej, u stóp Jasnej- Góry . . . . .	97
10. Kompania z Raszowy, z Górnego Śląska, u stóp Jasnej-Góry . . . . .	105
11. Ochronka dla dzieci we wsi Trembki, pod Żychlinem . . . . .	113
12. Kopia własnoręcznego listu Ojca Ś-go Piusa X-go . . . . .	116
13. O, Pani, Matuchno nasza! . . . . .	116





**Przenajświętsza!...**





## O, Przenajświętsza!...

---

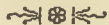
Wiersz, odznaczony na konkursie „Dzwonka Częstochowskiego.“

---

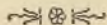
Niepokalana Dziewico Maryo,  
Matko Chrystusa, Przenajświętsza Pani,  
Oto w nas gromy śmierć niosące biją,  
Otośmy smutni i w drodze zbłąkani,  
O, módl się za nas do miłości Pana,  
On Cię wysłucha — Tyś Niepokalana!



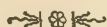
Świętości Twojej dziwią się Anieli,  
Tobą się szczycą i Tobą weselą;  
Oniby nieba jasności nie chcieli,  
Gdyby im dano taką błysnąć bielą,  
W jaką na wieczność zostałaś odziana...  
O, Przenajświętsza!... o, Niepokalana!...



Ty byłaś zanim wstały z dolin góry,  
Nim się polała wstęga rzek błyszcząca;  
Igrałaś jasna na okręgu słońca,  
Gdy jeszcze ziemię mrok tulił ponury.  
By wina grzechu została zmazana,  
Zesłaś z błękitów Ty, Niepokalana!



Zajadliwych grzechów opłotły nas węże,  
Ściskają piersi, że już tchu nie staje,  
Jako czerw podły występek się leże,  
I coraz dalsze od serc naszych kraje,  
Gdzie gości miłość czysta i świetlana,  
O, módl się za nas Ty, Niepokalana!



Najświętsza Panno, przez jutrzeńne blaski  
Racz zwrócić oczy na głów ludzkich morze,  
Zmazani winą i niewarci łaski  
Czoła przed Tobą chylimy w pokorze  
I prosim, kiedy łzami twarz zalana:  
O, módl się za nas Ty, Niepokalana!

*Zofia Zacharkiewiczówna.*







# ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany  
przez Sługę Bożego.

---

Za czasów Jezusa, stosunki pomiędzy Żydami a Samarytanami były silnie nienawistne, dlatego droga do Jerozolimy przez Samaryę nie była zupełnie bezpieczną. Galilejczycy zwykle omijali ją, kierując się przez dolinę Jordanu albo przez równinę Saron. Samarytanie, wzamian za okazywaną im wzdargę, mścili się napaściami, lub, co najmniej, odmawiali żydom gościnności. Wskutek owej wzdargi byli zupełnie obcymi rozwojowi religijnemu w Izraelu. Zadawali się „Księgami” Mojżesza, może uznawali dawniejszych proroków, — ale nauka faryzejska nie miała do nich przystępu. To jedynie łączyło ich z Żydami, że, jak oni, oczekiwali Mesjasza, zapowiedzianego przez Mojżesza.

Lecz oczekiwanie ich było wyłącznie religijne — żadna myśl polityczna, żadne pragnienie ziemskie nie kaziło tej nadziei. Oczekiwany przez nich Prorok Wielki miał być, nie jak u Żydów — zdobywcą i panem całego świata; lecz miał być Posłem Bożym, podobnie jak Mojżesz prawodawcą, mistrzem narodu, miał spełnić tylko zadanie moralne, duchowne. Samarytanie, właściwie mówiąc, nie odrzucali wierzeń i praktyk doktorów i nabożników — oni tych wierzeń i tych praktyk

wcale nie znali. Nic dziwnego, że prawowierni nauczyciele i wyznawcy poglądali na nich, jak na coś obmierzonego, wystrzegali się nawet wymieniania ich nazwy. Największą obelgą, w przekonaniu Żyda prawowiernego, było nazwanie kogo Samarytanem. Ta obelga spadnie również na Jezusa.

Bo Jezus nie tylko nie podzielał społecznych zapatrywań, lecz przeciwnie—miłował ów wzgardzony lud samarytański. Więc opuszczając Judeę, nie bez powodu obrał drogę przez Samaryę. Wiedział, że w tej krainie, do której nie sięga wpływ Jego nieprzyjaciół, znajdzie grunt wdzięczny dla Swojej nauki.

Stara ta kraina Kanaana pełną jest wspomnień — nadmienia dalej Ojciec Didon. — Najświętsze gromadzą się dokoła dawnego Sichemu. Miasto rzeczone, którego nazwa pochodzi od jednego z przywódców szczepu Hewejskiego, leżało pomiędzy górami Hebal i Garizim, w tem miejscu, gdzie krzyżują się dwie drogi, z których jedna łączyła morze Wielkie (tak Żydzi nazywali morze Śródziemne) z Jordanem i krainami za tą rzeką leżącymi, a druga Mezopotamię i równiny Haldejskie z Egiptem oraz krainami Zachodu. Niedaleko stąd znajdowała się dolina Jasna, gdzie Abraham, wyszedłszy z Haranu, rozbił swój namiot. Tam Bóg rzekł do niego:

— „Nasieniu twemu dam ziemię tę“

Abraham, na pamiątkę widzenia tego, zbudował ołtarz Panu.

Również Jakub, wracając z Mezopotamii, po wysłuzeniu dwa razy siedmiu lat u swego wuja Labana, tutaj obozował i tak samo położył kamień w tem miejscu, dla ofiarowania na nim Bogu. Następnie tu kupił część pola i wykopał na nim studnię dla rodziny i dla trzód swoich. Z kolei Józef, umierając w Egipcie, nakazał, aby ciało jego tu było pochowane. Mojżesz, uchodząc z Egiptu, nie zapomniał o ostatniej woli wielkiego patryarchy; przeto zabrał kości jego i przeniósł je przez puszcę aż do granicy ziemi Chanaan; lecz dopiero Jozue, wszedłszy do Ziemi Obiecanej, „pogrzebał je w Sichem, na części pola, które był kupił Jakub u synów Hemora Hewejczyka.“ Tu nadto Jozue, ustawiwszy dwanaście pokoleń na stokach gór Hebal i Garizim, kazał im odczytać głośno błogosławieństwa i przekleństwa, zapisane w Księdze Powtórzenia Praw. Z biegiem czasu, Sichem rozrosło się w wielkie miasto, stało się stolicą Królestwa Izraelskiego, lecz świetność owa rychło przeminęła.

Za czasów Jezusa, stolicą Samaryi było miasto inne, zbudowane przez Heroda na zachód od Sichem, na wzgórzu, wznoszącem się nad równiną Saron. Nazwał Herod tę nową stolicę Sebaste, ku uczczeniu wszechwładnego cesarza rzymskiego Augusta, pana swego. Atoli ludność Samaryi czcila Sichem, z powodu świętych pamiątek; nadto Si-

chem znajdowało się w szczególnie szczęśliwym położeniu, bo przy dwóch drogach, łączących krainy wschodnie z zachodnimi i północne z południowymi, co dla handlu niezmiernie ważne miało znaczenie.

Żydzi przewali Sichem pogardliwie *Sichar* albo *Sycar*. Ojciec Didon domyśla się, że przezwisko to posiadało sens obelżywy, pochodziło albo od wyrazu hebrajskiego *seger*, — kłamstwo, albo od wyrazu *sicor* — pijanica. W pierwszym razie Żydzi prawowierni wytykaliby mieszkańcom odszczepieństwo; w drugim skłonność do trunku, która, jak się zdaje, była pomiędzy mieszkańcami gór Efraimskich rozpowszechnioną, gdyż Pismo Ś-te kilka razy wspomina o „pijanych Efraim.“

Jezus tedy, wracając z Ziemi Żydowskiej do Galilei, dążył tą samą drogą, którą podążali niegdyś Abraham i Jakub. W drodze zatrzymał się pod miastem przez Żydów prawowiernych wzgardzonem, na polu, które Jakub był dał Józefowi, nad studnią, wykopaną przez tegoż patriarchę. Znużony podróżą, usiadł na skraju studni. Działo się to w porze zimowej, w połowie grudnia, o godzinie szóstej, która wedle rachuby wschodniej, przypada w samo południe. Uczniowie udali się do miasta, zakupić żywność, — Mistrz pozostał samotnym. Gdy tak siedział, jakby oczekując na kogo, nadeszła niewiasta samarytańska czerpać wodę.

— Daj mi pić! — rzekł Jezus do niej.

Lecz niewiasta, poznawszy z wymowy Jego, iż Żydem jest, zapytała nie bez podziwu:

— Jakoż ty, Żydem będąc, prosisz u mnie pić, która jestem niewiasta Samarytanką? Bo Żydowie nie obcują z Samarytany.

Jezus odparł:

— Byś wiedziała dar Boży i kto jest, co mówi: „daj mi pić“, tedybyś go śnać była prosiła, a dałby ci wodę żywą.

Nie zrozumiała tych słów niewiasta, przeto zaciekawiona, znów pyta:

— Panie, nie masz czem czerpać, a studnia jest głęboka, skądże masz wodę żywą? Izażeś większy, niż ojciec nasz Jakub, który nam tę studnię dał, i sam z niej pił, i synowie jego, i dobytek jego?

Jezus, pragnąc oświecić myśl niewiasty, powiedział:

— Każdy, który pije z tej wody, zasię będzie pragnął; lecz kto by pił z wody, którą mu ja dam, nie będzie pragnął na wieki, ale woda, którą mu ja dam, stanie się w nim źródłem wody, wyskakującej ku żywotowi wiecznemu.

I te słowa nie oświeciły niewiasty; zaciekawiona jeszcze bardziej, mówi żywo:

— Panie, daj mi tej wody, abym nie pragnęła, ani tu czerpać chodziła.



Widząc, że Samarytanka słów Jego nie rozumie, a pragnąc umysł jej otworzyć na prawdę, Jezus sięga w głąb jej sumienia, gdyż przy pomocy sumienia dusza otwiera się i Boga poznaje. Powiada:

— Zawołaj męża twego, a przyjdź tu.

Trafił Jezus w czułą strunę niewiasty; nie chcąc skłamać, odpowiada dwuznacznie:

— Nie mam męża.

Jezus wtedy:

— Dobrześ powiedziała, iż nie masz męża, albowiemś pięciu mężów miała, a teraz którego masz, nie jest twoim mężem.

Odgadł ją Jezus, przejrzał na wskroś — więc uderzona i pokonana Jego jasnowidzeniem, woła:

— Panie, widzę, żeś jest prorok!

Zaraz też myśl do rzeczy wyższych kieruje i nadmienia:

— Ojcowie nasi chwalili Boga na tej górze Garizim, a wy, Żydzi, powiadacie, że Jeruzalem jest miejsce, kędy potrzeba go chwalić?

Rzekł Jezus:

— Niewiasto, wierz mi, iż przyjdzie godzina, gdy ani na górze tej, ani w Jerozolimie chwalić będziecie Ojca. Wy, Samarytanie, chwalicie, co nie wiecie; my Żydzi, chwalimy, co wiemy, bo zbawienie z Żydów jest. Ale przychodzi godzina, i teraz jest, gdy prawdziwi chwalcę będą chwalić Ojca w duchu i prawdzie. Bo i Ojciec takich szuka, którzyby Go chwalili. Duch jest Bóg, a ci, którzy Go chwalą, potrzeba, aby Go chwalili w duchu i prawdzie.

— Wiem, że przyjdzie Mesyas — rzekła niewiasta z prostotą. — Gdy tedy przyjdzie, On oznajmi nam wszystko.

Dusza niewiasty otworzyła się, przeto Jezus objawia jej Siebie.

— Mesyasem jam jest, który z tobą mówię.

Wśród pospolitych okoliczności, z dziwną prostotą i poufałością, a zarazem dziwnie rzewnie i wspaniale, objawił Jezus skruszonej grzesznicy Siebie.

— Jam jest Chrystus. Jam jest Ten, który przyjść ma. Jam jest oczekiwany i u Samarytanów, i u Żydów, i przez świat wszystek.

Tak oznajmia grzesznicy, wprzód ją samą Swoją obecnością skruszywszy, wprzód słowem Swojem nauczwszy tajemnicy żywota wiecznego. Nazywa Siebie Darem Bożym. Każdemu, kto Go prosi, udziela Ducha Ś-go, onej Wody Żywej, jak Go nazywa, biorąc tę figurę z tej samej wody, o którą prosił niewiastę.

Któż tedy jest ten Duch? Skąd przychodzi i dokąd dąży? Nieprzenikniony Sam w Sobie, jeno w skutkach Swoich daje się poznać, gdyż w duszach wierzących staje się wodą wytryskającą, która sama tylko może ich pragnienie nieskończone ugasić. Źródła ziemskie biją



— Mesyaszem jam jest, który z tobą mówię.





tak wysoko, jak wysoko leżą miejsca ich początku. Woda Żywa Du-cha, wybiegając z głębokości Bożych, tryska w sumienie wyżej i wy-żej, aż znowu dojdzie do Boga. Wody onej udziela Sam Mesyas, On bowiem jest prawdziwą Studnią Jakubową, wykopaną dłonią Boga na zbiegu dróg, przez które dąży rodzaj ludzki, a udzielając ustanawia religię wieczną, cześć Bożą w duchu i w prawdzie. Nie będzie już ani Jerozolimy, ani góry Garazim. On Sam jest Kościołem, a Kościół ten powstaje w każdej duszy, w której duch mieszka, która czei Boga w tym Duchu miłości i prawdy. Ten Jest Kościół Jego, to jest Królestwo Jego.

Nauczał jeszcze Jezus Samarytankę, a już uczniowie powrócili z miasta. Zdziwiło ich niezmiernie, że zastają Mistrza na rozmowie z niewiastą. Bo przecież Żydzi traktowali niewiasty z niejaką wzgardą — nie pozdrawiano ich, ani rozmawiano z niemi na ulicy, chociażby to była własna żona. Ten zwyczaj surowy rabini posunęli do ostateczności, utrzymując, iż niewiasty nawet nauczać nie warto. Mówili:

— „Raczej wrzuc w ogień słowa Zakonu, niżbyś je miał powierzać niewieście.“

Uczniowie Jezusa zapewne te uprzedzenia podzielali, stąd ich zdziwienie. Lecz taką byli przejęci czią dla Mistrza, że żaden nie ośmieleł się zaczepić Go pytaniem, o czym z tą niewiastą rozmawia.

Każdy to rozumie, że Jezus wyższem rządził się prawem. Gorszyli się wielce faryzeusze, iż zgół się nie troszczy o względy i obyczaje ludzkie, że je łamie i nogami depce, ilekroć staną na drodze Jego posłannictwa. Z wszechwładną stanowczością nie tylko nie ulegał wpływowi otoczenia, ale górował po nad wszystkim w słowach, czynach, w życia powszedniego zdarzeniach. Nigdy w Nim nie dostrzegamy Żyda i ciasnych, wstecznych tegoż pojęć, — zawsze jest Synem Człowieczym, zawsze ukazuje się w blaskach wiekuistej piękności i prawdy. Czynami Swemi nakazuje nowe obyczaje, słowami wzbogaca rozum jasnością nadziejską, wprowadza go w głębie nieprzeniknionych tajemnic Bożych.

Rozmowa z grzesznicą przy studni Jakuba pozostanie na zawsze jędrem z najwspanialszych świadectw miłosierdzia i dobroci Jezusa. Tutaj już występuje jako Pasterz Dobry, poszukujący owcy zbłąkanej. Wszystko, co słabe, chwiejne, co upada, co błądzi, powołuje do Owczarni Swojej. Wszelka nędza daje prawo należenia do Niego. Czy podobna wyrazić, ile czci i wywyższenia zawdzięcza kobieta tej Samarytance, którą On prosić raczył o wodę, z którą rozmawiał o napoju tajemniczym, gaszącym pragnienie cierpiących?

Skoro przybyli uczniowie, Samarytanka odeszła, zostawiając na po-krzepienie pątnikom dzban swój, wodą napełniony. Wzruszona tem, co od Jezusa usłyszała, podażyła do miasta, aby przygodę swoją wszyst-

kim opowiedzieć. Wiedział Jezus, że słowa Jego rozejdą się po całym mieście. Mówiła tedy niewiasta do każdego spotkania:

— Pójdź, a oglądaj człowieka, który mi powiedział wszystko, comkolwiek czyniła. Nie ten-li jest Chrystus?

Całe miasto poruszyło się na samo przypuszczenie, że może istotnie zjawił się oczekiwany Mesjasz. Ludzie na Wschodzie są niezmiernie ruchliwi, ciekawi nowin, zwłaszcza jeżeli one religii dotyczą, przeto nic dziwnego, że słowa niewiasty wielkie sprawiły zajęcie wśród mieszkańców Sichemu. Jeden przez drugiego spieszyli do studni Jakubowej.

Tymczasem Jezus siedział wciąż na brzegu studni, pogrążony jakoby w rozważaniu dzieła, które przez Niego spełnić się miało, a któremu Opatrzność Ojca Jego tak szczęśliwy tu, w Samaryi, dała początek. Dostarczona przez uczniów żywność stała przy Nim nietknięta. Więc prosili Go uczniowie:

— Mistrzu, jedź!

Lecz Jezus odparł:

— Mam ja pokarm ku jedzeniu, o którym wy nie wiecie.

I nie kwapił się do jadła.

Uczniowie nie śmieli nalegać, szeptali jednak z cicha do siebie:

— Aboć Mu kto jeść przyniósł?

Jezus natomiast objaśnił ich:

— Mój pokarm jest, abym czynił wolę Tego, który mnie posłał, abym wykonał sprawę Jego.

Człowiek tem większej nabywa swobody, tem więcej wyzwala się z jarzma potrzeb ziemskich, zmysłowych, im wyżej się wzniesie duchem. Ciało czerpie życie z ziemi, a dusza żyje Bogiem; gdy się tym pokarmem posili, wówczas podtrzymuje także mdłe ciało swoje. W osobie Jezusa poczucie obowiązku wyraziło się w najzupełniejszym i najsłabszym stopniu. Przemawiający w duszy Jego głos Ojca był Jego sumieniem, a posłuszeństwo dla głosu tego było Jego życiem. Człowiek pełen jest ułomności; omylny, chwiejny, niestały, ulegający skłonnościom swoim, uginający się pod brzemieniem ofiary—upada co chwila. Od Jezusa Bóg wymagał ofiar bohaterskich, a On posilał się niem, jak pokarmem. Aliści w tej chwili wola Ojca słodką Mu była. Po trudnościach, doznanych w Jerozolimie i w Judei, tu, w pogardzanej Samaryi, całe miasto wybiega naprzeciwko Niego. Jakoż mówiąc o pokarmie Swoim, patrzył ku miastu, skąd nadciągały rzesze ludzi. Wtedy rzekł do uczniów:

— Izali wy nie mówicie, że jeszcze są cztery miesiące, a żniwo przyjdzie? Oto wam powiadam: podnoście oczy wasze, przypatrzcie się krainom, że już białe są ku żniwom.<sup>1</sup>

Rzesze Samarytan przedstawiły Mu się jakoby łany dostalego zboża; raduje się dusza Jego na ich widok. Mówi:

— A który żnie, bierze zapłatę, samo żniwo jest zapłatą jego pracy. I zbiera owoc do żywota wiecznego. Słuszna, aby weselił się pospołu i który sieje, i który żnie. Albowiem w tem słowo jest prawdziwe, że inszy jest który sieje, a inszy który żnie. Ojciec podzielił pracę między wielu. Jam was posłał żąć, czegoście wy nie robili. Insi robili, a wyście weszli w pracę ich.

Tu Jezus ma na myśli patryarchów i proroków, których słowo, rzucone na ziemię, na podobę Boskiego nasienia, przez długie wieki leżało uspięne; dopiero teraz, na głos Jego i mocą Jego, dojrzewa na żniwo pod sierp uczniów Jego.

Z uniesieniem radości przyjmowali Jezusa mieszkańcy Sichemu. Uprzedzenia i niechęci znikły — prosili Go, aby został z nimi. Jezus uległ prośbom, poszedł do miasta i zamieszkał tam przez dni dwa.

Pisarze kościelni o zdarzeniu wyżej opisanem nadmienają:

Grzesznica Samarytanka — to Kościół jeszcze nie oczyszczony, mający dopiero zostać Kościołem. Kobieta przychodzi z pośród ludzi obcych — Kościół przyjdzie z pomiędzy narodów.

Jezus zatrzymał się przy studni o godzinie szóstej, wedle rachuby Żydów; słońce doszło właśnie do najwyższego swego punktu, teraz miało się zniżyć ku zachodowi. Słońce, prorokowane przez Zacharyasza, Prawdziwy Wschód; Mesyas, zjawia się, aby oświecać tych, którzy są pogrążeni w cieniach nocy, aby kierować ich stopy na drogę pokoju. Szósta godzina będzie jeszcze godziną Ofiary, gdy krwią zbroczony Zbawiciel spocznie po Swoich trudach, położywszy się na krzyżu. Wówczas z żywych ran Jego wytrysnie źródło zbawienia. Jezus mówi do Samarytanki: — „Daj mi pić.” — Na Kalwaryi powie: — „Pragnę!”

Samarytanka nie знаła innej wody nad tę, która zaspakaja zwykłe pragnienie. Chociaż zostaje pod wrażeniem uszanowania, jednak z początku lekko traktuje Jezusa, który mówi jej o daniu Wody Żywej, gdy właśnie ona to ma czem wodę czerpać. W ten sposób mówić będzie długo pycha bezbożników i fałszywych nauczycieli.

Woda studni jestto rozkosz, mieszkająca w ciemnych głębiach. Kto szuka rozkoszy tego świata, kto pije tę wodę, pragnąć będzie jeszcze. Żywa Woda Jezusa—to Duch Ś-ty. Zaspakaja On wszystkie pragnienia duszy i wznosi człowieka do życia wiekuistego, bo jest źródłem zmartwychwstania. Kto ma źródło w sobie, nie pragnie nigdy.

Samarytanka rzekła:—„Panie, daj mi tej wody, abym nie pragnęła, ani tu czerpać chodziła.”— Mieszka ona w tym kraju, gdzie Eliasza, wielki prorok, pomiędzy innemi cudami, przeżył dni czterdzieści, nie



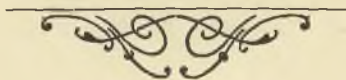
pijąc nic i nie jedząc. Przypomniała sobie teraz jego historię i sądziła, że Ten, który z nią mówi, może jej odkryć sekret Eliasza.

Samarytanka, odpędzona z kolei przez pięciu mężów, żyła w bezprawiu. Jeden z Ojców Kościoła w onych mężach pięciu widzi pięć zmysłów, a w pożyciu bezprawnem panowanie ciała, starające się owdładnąć każdym człowiekiem. Błąd idzie za namiętnością zmysłów. Nie jest on małżonkiem, prawym towarzyszem, lecz cudzołożnym kochankiem. Oddal błąd, odpędź tego cudzołożnika, który cię gubi, natomiast wezwij rozum, aby pojąć prawdę. Samarytanka uczyniła ten szlachetny wysiłek: uchyliła się ze czcią przed ukazującym się jej Światłem, wyznała swój grzech słowy:—„Panie, widzę, iżś Ty jest prorok.”

Dalsze słowa Jezusa: — „Ale przychodzi godzina...” — wywracają naraz i figury Żydów, i bałwany Samarytanów. I jedni, i drudzy zaniedbywali duszę, zajmując się przedewszystkiem oczyszczeniem ciała. Jezus Chrystus oznajmia, że Bóg, który jest Duchem, czczonym winien być czystością tego, co w nas jest niecielesnem, czystością umysłu, który nazywa On duchem. Kościół czci w duchu, ponieważ składa ofiarę duchową; Kościół czci w prawdzie, ponieważ ofiara jego nie jest figurą, lecz daje prawdę ofiar Starego Przymierza.

Syn Boży objawia się przy studni Jakuba prostemu sercu, które Mu wyznało swą nędzę. Żydzi słowo to jasne otrzymają wobec krzyża, gdy pytać o nie będą nie dla uwierzenia w nie, lecz dla zaprzeczenia mu i naigrawania się z niego.

(D. c. n.)



## Bogarodzica naszą Matką.

---

### Pierwsza doba Kościoła.

Po zmartwychwstaniu, Chrystus Pan jeszcze 40 dni na ziemi przebywał, dając ostatnie zarządzenia, jakich wymagało ustanowienie nowej społeczności, ofiarą krzyża odrodzonej, którą powszechnie Kościołem Chrystusowym zowiemy.

I do nieba wstąpił.

Cóż się stało z Maryą, Matką Chrystusową? Gdybyśmy nie czytali Ewangelii, byłibyśmy gotowi utrzymywać, że tak, jak uczestniczyła we wszystkich zniewagach Syna, jak dzieliła mękę Jego, będzie też cieszyła się Jego tryumfem, towarzyszyć mu będzie w dniu chwały. — Wszystko, wedle zwyczajnego mniemania, zdawało się za tem przemawiać.

Marya, tak samo jako i Pan Jezus, mogła powiedzieć na Kalwaryi: „Spełniło się.“ Syn Boży narodził się — pod Pontckim Piłatem ukrzyżowan; umarł — a Marya stała pod krzyżem.

Dosięgała szczytu zasługi i świętości, kiedy Pan Jezus wstępował do nieba, godną była stanąć obok tronu Syna swojego.

Nic też nie wiązało Jej z tą ziemią, serce jej było tam, gdzie i skarb jedyny. Czyż Syn mógł się cieszyć świetnością dziedzictwa swego, wiedząc, że matka znosić musi niedolę wygnania?...

Żeby przynajmniej Chrystus Pan sam odchodził z tej ziemi — ależ On prowadził zastęp dusz sprawiedliwych, które wywiódł z otchłani. <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Mat. 27, 53.

Przywilej ten należał się, przedewszystkiem w dniu cudownego wniebowstąpienia, Matce Zbawiciela!

I bez wątpienia, Marya byłaby odeszła z Panem Jezusem, gdyby była tylko matką Boga-człowieka: — nie zapominajmy, iż została matką ludzi — matką Kościoła — i dlatego pozostała na ziemi. Kościół, co tylko założony, to jakby narodzony Jezus Chrystus — był on jeszcze w pieluchach — w żłobku — w imieniu tego Kościoła, woła Chrystus z nieba na Szawła: Szawle, Szawle czemu mnie prześladujesz? <sup>1)</sup>

Dziecięctwem Pana Jezusa opiekowała się matka, rósł pod jej okiem w lata, mądrość, w łaskę u Boga i u ludzi. Trzydzieści lat spędził z Maryą, aż do dnia, w którym rozpoczął publiczny swój zawód.

Kościół, jako mistyczna osoba, której głową Pan Jezus, wymagał pieczy macierzyńskiej w niemowlęctwa dobie. Któż lepiej mógł to spełnić od Maryi, wszakże w osobie Jana, wszystkich przyjęła za syny swoje — jak tego domagał się Chrystus.

Może jednak ktoś powiedzieć: przecież Pan Jezus nie zostawił nas sierotami, Duch Ś-ty zstąpił na Apostołów i przebywa w Kościele, zlewając dary swoje na dusze krwią Syna Bożego odkupione, — zbyteczną więc była ta posługa Maryi.

Przyznajemy, że niema tu mowy o konieczności bezwzględnej; w wielu zdarzeniach Opatrzność ogląda się na słabość natury ludzkiej i potrzebom naszym zaradza.

Syn Boży, zstępując na ziemię — w swem człowieczeństwie posiadał pełność mocy i prawdy — niebo i ziemia były mu poddane — a jednak przez długie lata ulegał troskliwym zabiegom kochającej matki.

Zrobimy uwagę nie mniej ważną od racji dopiero co przytoczonej. Widzieliśmy, iż Marya na Kalwaryi stała się matką ludzi i że jej macierzyństwo szerokie przybrało rozmiary — rozciąga się na wieki całe — o tem świadczą słowa Chrystusa z krzyża wyrzeczone.

Należało, aby te słowa każdy zrozumiał, aby one wyrły się w sercach naszych, przedłużony pobyt Maryi na ziemi — celowi temu w zupełności odpowiada.

Duch Ś-ty, obiecany przez Zbawiciela — żyje w Kościele i uświęca dusze wiernych, jakkolwiek dzieje się to w sposób niewidzialny — pierwsze zstąpienie Ducha Ś-go było wyraźne, jak o tem pouczają nas Dzieje Apostolskie. Podług nauczycieli kościelnych Najświętsza Maryja Panna w pierwotnej dobie po odejściu Pana Jezusa, była dla gromadki

---

<sup>1)</sup> Act. 9, 4, 4.



Jego uczniów pocieszycielką, światłem i radą, żywym przykładem, jak nauki ewangeliczne stosować w praktyce życia.<sup>1)</sup>

Zapewne, iż wielką była radość, kiedy po tylu upokorzeniach i strasznej męce wierni ujrzeli Chrystusa, wstępującego w chwałę do nieba... Prędko jednak odczuli nieobecność swego Nauczyciela, swego Wodza i Obrońcy... Wróciły dla nich dni niepewności i trwogi...<sup>2)</sup>

Maryja w pewnej mierze zastępowała Pana Jezusa, a już sama Jej osoba była rękojmią spokoju i bezpieczeństwa.

Niedługo trzeba było czekać na zamachy pełne grozy... Wkrótce Piotr naznaczony, żeby utwierdzał bracią — został uwięziony. Około Maryi, tak jak w przeddzień Zesłania Ducha Ś-go, skupiła się owczarnia w trwodze o swego Pasterza. — Matka Boża i matka nasza krzepiła ich odwagę, a wzywała opieki i pomocy swego Boskiego Syna. Jej serce odczuwało cierpienia powierzonych sobie dzieci i starało się przynieść im ulgę.

Ś-ty Jan Damasceński takie słowa kładzie w usta Apostołów i innych uczniów, kiedy skupili się w okół Maryi w dniu Jej śmierci: „Pocieszycielko nasza, nie opuszczaj nas, nie zostawiaj nas sierotami; wszak Ci wiadomo, na ile niebezpieczeństw jesteśmy wystawieni dla umiłowania przez nas Jezusa, któregoś Ty Matką.”<sup>3)</sup>

Maryja więc okół rodzącego się Kościoła te same rozwinięła zabiegi, jakie czyniła względem maluczkiego swego Synaczka i z większą słusznością, niż Apostoł powtórzyćby mogła: „Któż choruje, a ja nie choruję, któż się zgarsza, a ja nie?”<sup>4)</sup>

Ale nie na tem tylko ogranicza się macierzyńska rola Maryi. Niedawno Leon XIII ukazał w Niej strażniczkę kolebki Kościoła — a zarazem pełną mądrości Bożej współpracownicę.

Pamiętamy, że na Apostołów zstąpił Duch Ś-ty, który uczy ich wszelkiej prawdy, a z ust ich dowiadują się wszyscy, w co mają wierzyć i co czynić należy, nie wykluczało to jednak udziału Matki Zbawiciela.

Pan Jezus jako chłopię był posłuszny Swej Rodzicielce — i to pewnem jest, że Maryja nigdy nie przyznawała sobie przywilejów, które Jej nie służyły. Wiedziała, że nie do Niej mówił Chrystus: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody”.

<sup>1)</sup> Leon XIII w swych Encyk. o Różańcu nie pominął tego punktu nauki: Maryja mówi, opiekuje się pierwszymi członkami chrześcijańskiego ludu, wspiera swoim przykładem, radą — wlewa w serca pociechę — wspomaga swemi modlitwami. *Adjutricem populi* 5 Sept. 1895.

<sup>2)</sup> Philip. 1, 23 II Cor. 8.

<sup>3)</sup> Joan Dam. hom. in Dorm. 736.

<sup>4)</sup> II Cor. 11, 29.

Pomiędzy owieczkami zleconemi Piotrowi Marya była najpokorniejszą.

Wiedzieć jednak trzeba, że natchnienie Ducha Ś-go nie obejmuje tych rzeczy, które przyrodzonemi siłami rozumu poznać możemy. Mamy tego dowód zaraz na pierwszym Koncylium w Jerozolimie. Łaska Boża w działaniu swoim nie wyłącza praw natury—a także wiara nie lekceważy dziedziny przyznanej rozumowi.

Dlatego też Ewangeliści, piszący za natchnieniem Ducha Ś-go, starali się własnymi siłami zgromadzić wiadomości — jakie im mogli podać świadkowie wiarogodni i co sami poznali i czego się nauczyli.

(D. c n)

*ks. Wł. F.* •



**Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,**  
**KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE**  
przez  
**CZCICIELA MARYI.**

**Część druga:**

**KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI**

Nazajutrz wypadła wigilia Bożego Narodzenia. Przeor z rana zabrał się do napisania odpowiedzi, którą już był w głowie ułożył. Jak wszystkie jego listy, i ten odznaczał się umiarkowaniem wielkiem, znajomością serca ludzkiego i nadzwyczajną zręcznością, gdyż w Kordeckim męstwo i stałość, których dał dowody, łączyły się z mądrym dowcipem. Oto ośnowa listu:

„Dostojny a Czcigodny Panie! Przekonaliśmy się tylekroć, że Wasza Dostojność najlaskawiej z nami postępujesz i z wielką cierpliwością na przyjęcie warunków oczekujesz. Chociaż słuszną wydać się mogło rzeczą, abyśmy na żądanie Waszej Dostojności poddali się z klasztorem Najjaśniejszemu Królowi Szwedzkiemu, przecież wahaliśmy się z uczynieniem tego, nie dla umyślnego przewlekania sprawy, lecz z obawy o nasze bezpieczeństwo, ponieważ Wasza Dostojność najsprawiedliwsze nasze żądania odrzuciłeś. Teraz tą samą łaskawością po raz ostatni przestrzeżeni, przystąpilibyśmy niezwłocznie do stanowczej ugody, gdyby nam największe ze świąt, Bożego Narodzenia, nie stało na przeszkodzie, przez wzgląd na które prosimy pokornie, abyś raczył dozwolić zawieszenia broni. My zaś, po otrzymanem objaśnieniu od naszych przeło-

zonych, do których niech nam będzie wolno odwołać się za pozwoleniem Waszej Dostojności, uczynimy, co uznamy za stosowne.

*Augustyn Kordecki, Jasnej-Góry Przeor.*“

— Tym razem Szwed się nie złapie! To darmo! — zauważył Czarnecki, gdy przeor w głos pismo swoje odczytał.

— Ale spróbować można — rzekł Zamoyski. — Nie wadziłoby otrzymać kilka dni frysztu. Powiem nadto, że dobrzeby oraz było wystylizować i do Weyharda list pokorny, aby się o zawieszenie broni do Millera wstawił. Im sroższy prześladowca nasz, tem go więcej głoszczmy.

— Zgoda. Natychmiast do Weyharda piszę.

Ów drugi list opiewał:

„Najłaskawszy Panie i Dobrodzieju! Nigdyśmy jeszcze tak nieprzychylnego względem nas nie doświadczyli serca Jaśnie Wielmożnego Pana, abyśmy o ucieczce naszej do Jego łaskowości w najbardziej grożących nam niebezpieczeństwach rozpaczać mieli. Ponieważ wskutek gwałtownego nalegania Pana Jenerała najmniejszej zwłoki do działania i dania odpowiedzi mieć nie możemy, udajemy się więc z prośbą do Jaśnie Wielmożnego Pana, abyś raczył, nie tak przez pamięć na nas, którzy przecież zawsze na usługi gotowi byliśmy, jak przez wzgląd na święte miejsce, które zawsze z największą pobożnością czciłeś i liczne dobrodziejstwa Boskie, jako to sam wyznajesz, za pośrednictwem Najświętszej Panny odebrałeś; abyś toż samo miejsce teraz od groźnego zniszczenia zachować raczył, wstawiając się do Pana Jenerała, aby nam święta te uroczyste Bożego Narodzenia z należytem nabożeństwem obchodzić pozwolił i zgodził się na zawieszenie broni, tudzież na odwołanie się do naszych przełożonych. Wiadomo bowiem Jasnie Wielmożnemu Panu, jak dalece my, zakonnicy, od woli naszych starszych zależymy. Bóg wynagrodzi sownie tę troskliwość o święte miejsce, a my będziemy się starali odwzajemnić naszymi usługami i modłami. Prosząc pokornie, polecamy się nadal Jego łaskowości.

*Augustyn Kordecki, Jasnej-Góry Przeor.*“

— Do odniesienia listów — rzekł Kordecki, napisawszy i odczytawszy wtórą epistolę — chyba użyjemy tego samego posła, który nam pocziwego Brzuchańskiego uratował.

Sprowadzono Kostuchę, która niebawem się przywlokła.

— Jestem gotowa do usług Wielebnego Ojca — trzepała. — A co tam takiego? Może znów do obozu?

— Zgadłaś. Masz tu listy do Millera i do Weyharda. Pójdziesz?

— Ojoj! Czemu nie? Nie ja Szwedów, ale oni mnie się lękają. Proszę o pisma, żebym, póki się nie przyciemni, wrócić mogła.



W refektarzu, zwyczajem staropolskim, stół do wigilii już był zastawiony. Na wązkich, klasztornych stolikach leżało trochę siana, przypominającego Narodzenie Chrystusowe w stajence, ale nie było snopów w kątku, bo ich nie miał klasztor i chleb czarny zastępował białe strucle, kształty spowiniętego Dzieciątka naśladowujące. Na talerzu cynowym leżały opłatki. Kordecki wziął jeden i przyniósł do rozłamania żebracze.

— Idźże pocziwa służko Najświętszej Panny z Bogiem, a przynieś nam uspokojenie — rzekł.

Ze łzami w oczach uściśnęła kolana przeora Kostucha, ucałowała dłonie jego i już odchodzić miała, gdy Zamoyski i Czarniecki też się do niej z opłatkami zbliżyli.

— Podzielże się i z nami, odważna niewiasto — odezwał się pan miecznik sieradzki — a daj nam, Boże, z przyszłym opłatkiem lepszych doczekać czasów i spokojniejszego pożywiania darów Bożych.

Kostucha raźnie się wymknęła.

Wkrótce po odejściu, za ukazaniem się pierwszej gwiazdy, wszystka ludność klasztoru do refektarza ściagać poczęła na wigilię, korzystając z chwili wolnej. Smutna to była wieczerza, którą zazwyczaj taka radość ożywia; pospiesznie spożyto skromne porcje polewki, ryby, rzucone przez Brzuchańskiego, nieco owoców suszonych. Głębokie milczenie przytem panowało. Każdy się spieszył ukończyć tę biesiadę, bo lada chwila spodziewano się szturm. Wszyscy pragnęli znaleźć się na murach lub w kościele. I była ta wieczerza podobna do uczt pierwszych chrześcijan, gdy wśród agapów tajemnych oglądali się niespokojnie i nasłuchiwali, czy się nie rozlegnie chrzest rzymskiej zbroi i głos prześladowców. Wreszcie załatwiono się z wieczerzą, świeccy ruszyli na mury, a zakonnicy do chóru, bo przy zbliżaniu się dnia uroczystego podwoić musiano modły.

Dowódcy i załoga, oczekując odpowiedzi z obozu szwedzkiego, niepewni rozejmu, więcej pewni, że Miller szturm lada moment rozpocznie, stali gromadnie w pogotowiu wojennem na murach. Niekiedy przesunął się zakonnik, upatrując stanowiska. Tak doczekano się dzwonka, który oznajmiał Mszę Pastorską.

W kościele już ustawiono, dawnym obyczajem, jasełka — więc kolebę z Dzieciątkiem, i żłobek, i pasterzy, i Maryę z Józefem, i Aniołów... Każdy, idąc na Mszę, pomodlił się wprzód u szopki.

Po Mszy pierwszej, następowały co chwila inne, bo wielu było księży w klasztorze, a każdy odprawiał trzy Ofiary tak, że do białego dnia przerwy w nabożeństwie nie było.

Na murach czuwano, zmieniając się. W obozie szwedzkim ognie gęste, ruch wielki coś niezwykłego zapowiadał. Nie bez przyczyny

wnosili zakonnicy, że Miller, widząc ich zajętych nabożeństwem, może zechce z tego skorzystać.. Szczęściem do rana obawy się nie sprawdziły.

O świcie wróciła Kostucha w dobrym humorze. Przeor przywitał ją zapytaniem:

— Co przynosisz, mości pośle?

— Ano cóżby? — odparła, śmiejąc się. — Wszystko poszło gładko, pięknie, ślicznie, jak trzeba. Przyjmowali mnie z honorami. A jakże! Prowadzili przez caluśki obóz ze śmiechem i wrzawą: — Poseł z klasztoru! Poseł od mnichów! — Nadełam się jeno, jak przystało na taki urząd. Pan generał z początku śmiał się, baraszkował, ale odczytawszy list — pokwaśniał, zaklął do stu tysięcy... Weyhard coś odpisał.

— Dawajże list.

Weyhard zaś tym kształtem odpowiedział:

„Wielce Szanowni i Szlachetni Ojcowie, a moi Czcigodni Przyjaciele! Nigdy mój umysł nie był daleki od świętej wiary, lecz zuchwałę postępowanie Waszych Wielebności wcale mi się nie podobało. Dlatego było mojem życzeniem, abyście się chociaż raz innej drogi chwycili, a nie odpychając od Siebie ofiarowanej Wam łaskowości królewskiej, bylibyście pewniej i Siebie i Swoje mienie zabezpieczyli. Radźcież więc teraz Sobie Sami, jeżeli się chcecie ocalić i zapobiec bez zwłoki Swojej ostatecznej zgubie. Wstawiłem się za Wami, ażeby słuszny gniew Pana Generała ułagodzić, i to nie bez trudności, albowiem był już tyle razy przez Was zawiedzionym i oszukany. Odkładać nadal straszliwego szturmu, który Wam grozi, nie może i nie powinien. Przecież oświadczam jeszcze, że przez szczególniejszą dobroć naszego króla uczyni Wam tę ostatnią łaskę i uroczystości nie będzie przeszkadzał pod tym warunkiem, żebyście wkrótce dali mu zapewnienie, że po nabożeństwach bez wszelkiej zwłoki do stanowczej ugody przystąpicie. Jeżeli zaś tego uczynić zaniedbacie, natenczas oświadczamy obaj publicznie, że Wasz klasztor i kościół zupełnie zniszczymy, w gruzy go zamienimy, a to z pomocą machin, które już są gotowe i w każdej chwili na rozkaz Generała działać mogą.

Zaklinam Was na Boga i Najświętszą Pannę, abyście nie sądzili, że Wam to napróżno mówię. Doświadczycie, niestety, czego się nie spodziewacie i o czem nie myślicie. Jeżeli Wam się te uwagi moje podobają, dajcież odpowiedź natychmiast, bo inaczej przyjdzie Wasza zguba, której ja nie będę mógł przeszkodzić, jeżeli tego, co Wam powiedziałem, nie uczynicie.

Tymczasem polecam Was Bogu i czekam na Wasze ostateczne postanowienie. Waszych Wielebności najzyczliwszy sługa — *Jan Weyhard*, hrabia z Wrzeszczewicz, ręką własną “



Kordecki, nie troszcząc się więcej o to, co nastąpić może, pospieszył urządzić wszystko do jak najuroczystszej nabożeństwa, które, poczęte o północy, skończyć się miało o południu. Kościół jaśniał światłem, kwieciami ze szklarni dobyte i największą ozdobą — ludem pobożnym.

A w obozie czyniono przygotowania potężne. Lutrzy i kalwini pomodlili się wężłowato, bez skupienia, aby-aby, i zaraz poszli do bateryj, do min. Jenerał, znudzony, znużony, niecierpliwy, dawał z siebie przykład. Od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy, obfitym rabunkiem usiłował żołdactwo swoje rozłakomić. Lecz żołnierze słuchali tego z zimną obojętnością, pomrukując chmurnie:

— Nic z tego! Warowni tej nie dobędziem.

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdzę dokoła ludem pieszym, związywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia, do szturmowania służyć mogące. Z klasztoru zaś odzywały się dzwony, kapela wygrywała kolendy skoczne, które też śpiewała załoga. Wiały tu odgłosy radosnego nabożeństwa do uszu Szweda, a ilekroć je w obozie usłyszano, żołnierze poglądali z ukosa na klasztor i ponuro kiwali głowami. Wiara w nieprzełamaną siłę częstochowskich cesarzy była tak wielka, że nic jej zachwiać nie mogło. Ludzie nie pojmujący, co może głębokie uczucie religijne, siłę jego zwali — jak umieli. Szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dały serca, gdy go nie ma, brakło zapachu, każdy się trzymał z daleka, nawet starszyzna już się niebardzo kwapiła naprzód.

Miller, nie mogąc się doczekać odpowiedzi z klasztoru, w południe kazał walić ze wszystkich dział i moździerzy. Rozpoczął się szturm wściekły. Leciały kule, bomby, karkasy; usiłowano klasztor zapalić, obalić kościół, przysypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartauny, ustawione na bateriach, mniejsze działa i co było spiżu, zaczęły gwałtownie, za danym znakiem, strzelać na twierdzę. Miller stał na wzgórzu, przypatrywał się szturmowi z zawziętością w obliczu. Każdy pocisk celny rozpromieniał go, ale takich było mało; każde chybienie gniew w nim podsycalo. Weyhard trzymał się opodal, nie chciał mu się nawijać w oczy.

Żołnierze polscy wyszli także ze swego obozowiska, patrzeć, czem się to skończy, a nie kryli swego oburzenia. Ten i ów, poglądając na twierdzę, miał szabłą i już chciał na kark wpaść heretykowi, lecz przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę i z westchnieniem załamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały.

Ile razy wiatr dymy bateryj i twierdzy rozwiał i uniósł, Miller chciwie patrzył, czy się co nie pali, nie wali. Ale Jasna Góra stała

niewzruszona, we mgłach tylko, niby w obłokach uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść załogi rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie czuwać i bronić się. Kobiety, starcy, dzieci tuliły się w podwórzach, spędzane wciąż padającymi kulami z miejsca na miejsce. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany... Kurzawa, dym, jęki, wołania, wrzaski, najodleglejsze wypełniały zakąty...

Przeor, z krzyżem w rękę, wybiegł za pierwszym strzałem i pomimo kul, które pod nogi mu prawie padały, wstąpił na mur błogosławiąc... Zamoyski latał tu i owdzie, wołając:

— Pilnujcie dachów! Pilnujcie murów! Baczość! Nie traćcie serca! Jeżeli Boga kochacie dzieci, brońmy się po polsku!

Czarnecki kierował działami, nie mówiąc słowa, cały pochłonięty zajęciem. Czasem tylko wyrwał mu się okrzyk, gdy trafnie odstrzelił; czasem się zmarszczył, gdy pocisk szwedzki po nad głową jego na klasztor leciał... Wówczas oko za nim posyłał, szukał szkody, jaką zrządził, ale rychło się uspokajał.

Chociaż strzały były gęste i obejmowały twierdzę ze wszystkich stron; chociaż kierowane były bądź na budowlę, celem ich zniszczenia, bądź ku murom obwodowym, celem zrobienia wyłomu od strony północnej zwłaszcza: szkody nie okazywały się tak wielkie, jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach nieustannie migały smolnemi płachty, żagwiami i sznurami opotrzzone kule, niosące ogień, lecz tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórzach raz po raz trzaskały kule, ale ich obłamy mury tylko kaleczyły, raziły belki, wybijały okna. Kilka czerepów padło na ludzi, kupą biegających, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cudowna odbiła je ręka.

Mimo to przestrach był wielki i gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nie, spiesząc naprzeciw Szweda. Na szczęście wrót dobrze strzeżono.

Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z murów; błagającej go szlachcie i zakonnikom, żeby opuścił niebezpieczne stanowisko, odpowiadał:

— Tu dziś moje miejsce. Waszmoście szablą i strzelbą, a ja krzyżem Bożym wojuję.

I obchodził wolnym krokiem mury, wszędzie rozdzielając błogosławieństwo.

Od strony północnej, największa kolubryna szwedzka, rzucająca trzydziestokilko funtowe kule, łamała mur nieustannie, a chociaż go

niewiele ujadła, już przecież znaczne były szczyrby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadeszli przeor z Zamoyskim, spojrzeli i zasmucili się. Pan miecznik odezwał się:

— Czasu im dziś na zrobienie wylomu nie stanie, noc nadchodzi, a do jutra zamurujemy dziurę.

Kordecki nie odpowiedział, pokłękł, krzyż przycisnął do piersi i modlił się, a była to modlitwa, która cud wywołuje, niebiosą przebija, oko Boże ściąga na ziemię, — modlitwa natchniona, bolesna, łzawa, duszę całą podnosząca. Przeor nic nie widział, nie słyszał, nie czuł. Wreszcie wstał, przeżegnał się, promieniejącą spojrzął żrenicą, jakby się z zachwyty budził. W tej chwili potworna kolubryna rozpękała się na kawałki, zabijając i płosząc puszkarzy... Zaraz potem ogień ustał na wszystkich punktach.

Cisza zapanowała. Bohaterowie jasnogórscy stanęli zdumieni, osmałeni prochem, drżący od pracy, schrypli od krzyku. Patrzyli po sobie, jakby nie dowierzając nagłemu uspokojeniu... A w obozie zapanował ruch jakiś, wrzawa, popłoch, — potem i tam się uciszyło.

Czarniecki pot z czoła otarł, węża podkręcił.

— Prażyli nas, bo prażyli! — rzekł. — Trza teraz obejrzeć szkody.

Przeor szepnął ze łzami:

— *Fiat!* Skończyło się! W imię Boże, witam was zwycięzcami...

— Jakże zwycięzcami, księżę dobrodziejcu? — zagadnął Zamoyski.

— To dopiero początek.

— To już koniec — odparł Kordecki. — Jestem tego pewny.

— Skąd pewność, jeśli godzi się wiedzieć?

— Nie wiem. Czuję przecież, że to postrach z ich strony ostatni.

Pójdźmy spocząć, lud nasz uspokoić i pocieszyć.

To rzekłszy, jał obchodzić mury, oglądać szkody, krzepić ducha załogi. Rękoma własnymi opatrywał rany, umacniał zwątlonych, a dla zrozpaczonych miał słodkie słowa nadziei błogiej.

— Dzieci, niebezpieczeństwo minęło, spocnijcie! — mówił.

(D. c. n.)



# KSIEGA CUDÓW,

## doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

---

R. 1710. Szeregowiec załogi jasnogórskiej, Kazimierz Kozłowski, niewinnie skazany na śmierć, został cudownie za łaską Najświętszej Panny ocalony. Rzec się tak miała: Rieczony Kozłowski, zabawiając się z towarzyszami w Częstochówce, w tamtejszej gospodzie, jednego z nich, Jakuba Komorowskiego, sierżanta, chcąc poskromić, gdyż pijanym będąc, z furją na wszystkich się rzucił, tak nieszczęśliwie berdyszem uderzył, że go na miejscu zabił. Miał zamiar tylko go przez plecy ściągnąć, tymczasem trafił w głowę. Zabity był awanturnikiem, nawet podejrzewano go o zdradę, bo podczas ostatniej bytności Szwedów w Polsce wygadał się, i to nie raz:

— O, gdyby tylko Szwedy tu przyszli, na Jasną-Górę, wnetbym do nich przystał!

Tak oto sobie Szwedów życzył mieć panami na Jasnej-Górze, więc z tego powodu, jako też z powodu awanturniczego usposobienia, miano go z załogi usunąć.

Kozłowski, przytrafkiem nieszczęśliwym stawszy się zabójcą, nie uciekał. Pojmano go, okowano i sądem oficerskim skazano na rozstrzelanie. Prowadzony przez ośmdziesięciu żołnierzy na plac, obróciwszy się w stronę kościoła, zawołał:

— Najświętsza Matko! przez dziewięć lat służyłem Ci wiernie na tem miejscu, a teraz nieszczęśliwy przypadek spotkał mnie. Nie miałem złej intencji, wiesz Sama! Bądźże mi Matką Miłosierdzia, a ja Tobie obiecuję do śmierci służyć!



Poważne osoby wstawiały się za biedakiem, ale oficerowie uniewinić go nie chcieli. Mówili:

— Wolimy wszyscy nie służyć tu dalej, niż darować mu życie. Co za powaga i bezpieczeństwo nasza byłaby, gdyby jednemu prostemu muszkietierowi śmierć sierżanta uszła? Dekretu nie odmienimy, niech wedle prawa ginie.

Dysponowany na śmierć Kozłowski, wciąż wzywał na pomoc Najświętszą Pannę. Skoro już na placu stanął w śmiertelnej koszuli, ustawiono naprzeciwko niego sześciu żołnierzy z flintami, nabitemi w oczach oficerskich. Dwaj pierwsi żołnierze dali ognia, mierząc w plecy — Kozłowski powalił się na ziemię, lecz głowę podnosił. Dwaj następni żołnierze wystrzelili mu w bok — on się na drugi bok przewrócił. Dwaj ostatni wystrzelili w głowę — z włosów mu się zakurzyło, a żył. Wówczas porucznik chciał z nim skończyć, szpadą go przebijając, lecz zakrzyknęto, że niewolno po nad dekret pastwić się nad skazanym. „I tak ognistym na śmierć jego zamachom koniec, a życiu początek na nowo stał się. Znalezione na ciele jego sine tylko znaki od kul; dwie kule, odbite od ciała, precz odleciały, inne w ziemię się wryły. Był wtedy na Jasnej Górze Jaśnie Oświecony Stanisław na Sługowie Szembek, prymas. Ten, dowiedziawszy się o wypadku, nakazał go zbadać pilnie i okazało się, iż Kozłowski łasce cudownej ocalenie zawdzięcza.“ Chciano go uwolnić od służby i łaskawym chlebem obdarzyć, on nie zgodził się na to.

— Obiecałem Najświętszej Pannie służyć tu do śmierci i obietnicy dotrzymam.

Przy tem się upierał i w rzeczy samej do zgonu w służbie czynnej twierdzy pozostał.

W rozdziale piątym części ósmej znajdujemy zdarzenia:

R. 1650. Jan Nemczyk, wzięty w niewolę przez Turków, uprzykrzył sobie jarzmo i żeby zyskać swobodę, turecką wiarę przyjął. Przez lat sześć żył w bisurmaństwie, lecz ponieważ robak sumienia spokoju mu nie dawał, postanowił do dawnej wiary wrócić, a następnie z krainy pogańskiej się wydostać. Lecz sposobność się nie zdarzała. Razu pewnego, gdy płynął na okręcie, sroga zerwała się burza. Wówczas jął wzywać Najświętszej Panny o ratunek.

— Ocal mnie, Matko Zbawiciela! — wołał. — Ocal, a ja z grzechów się wyznam na Jasnej-Górze i wiernie katolickich prawd trzymać się będę oraz pocziwości szczerzej...

Jakoż ocalał, uniknął Turków, odbył pielgrzymkę na Jasną-Górę, przykładnie grzechy wyznał, dukata tureckiego ofiarował i pono w rzeczy samej pobożności odtąd się trzymał szczerze.

R. 1662. Anna Rzepczykówna, córka rodziców heretyków i sama też heretyczka, w Wiedniu zamieszkała, była zagrożona śmiercią od grasującego moru. Już mowę i przytomność straciła, ale właśnie w tej ostatecznej chwili, ukazała się jej Najświętsza Panna i rzekła:

— Córko, powstań zdrowa, lecz odzyskawszy zdrowie, nawróć się na wiarę katolicką i odwiedź Jasną-Górę.

Znikło widzenie święte, dziewczeczka wstała zupełnie zdrowa. Dziwili się temu rodzice, ona im opowiedziała widzenie swoje. Drwić z niej zaczęli heretycy, mówili:

— W gorączce ci się przytroiła katolicka Matka Boska.

Anna oświadczyła, iż nakaz Maryi spełnić musi. Odwodzili ją rodzice od postanowienia, przeszkadzali, jak mogli, lecz Anna z domu się wykradła, na Jasną-Górę trafiła i tu wiarę katolicką przyjęła.

R. 1672. Liczna pielgrzymka Ślązaków pocziwych dążyła do Częstochowy. Gdy pątnicy ujrzeni w oddali szczyty klasztorne, uklękli i pieniem pobożnem Maryę pozdrawiać zaczęli. Znajdowała się pomiędzy nimi młoda luterka, która z ciekawości tylko przyłączyła się do wędrowców. Tej nie podobały się hołdy, składane Maryi w czystym polu, z oddali, więc je wydrwiwać poczęła. Gdy tak drwi, promienie ze szczytu wieżycy jasnogórskiej strzeliły w nią... Upadła zemdlona. Przyszedszy do przytomności, zmieniła się w sercu, już z pokorą na święte miejsce wstąpiła i błędów luterskich się odrzekłszy, wiarę katolicką przyjęła.

Tegoż roku. Turczyn Klater, wzięty w niewolę, czas już dłuższy w Polsce pozostawał. Namawiany, żeby wiarę katolicką przyjął, ani chciał o tem słyszeć. Dopiero gdy Jasną-Górę odwiedził, ślepotą go odstaąpiła, ochrzcił się i gorliwym był odtąd katolikiem.

Tegoż roku ochrzcił się Konrad Chrynkowicz z Jazłowca na Podolu, inowierca, uratowany łaską Najświętszej Panny z choroby śmiertelnej.

(D. c. n.)





# ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

---

## IX.

### Jan z Dukli.

Co się tyczy wykładów, to te na Wydziale Artystów odbywały się w sześciu lektoryach (salach), znajdujących się w gmachu Kolegium Jagiellońskiego na dole. Sale nosiły nazwy znakomitych uczony starożytnych, więc była sala: Galena, Plotomeusza, Marona, Arystotelesa, Sokratesa i Platona. Urządzenie wykładów było bardzo pierwotne. Słuchacze, siedząc na ławach, nie mieli wcale przed sobą pulpitów, ale wszystkie notaty robili na kolanie, maczając pióro w kałamarzu, przytwierdzonym do pasa. Tak było w Krakowie, tak na innych uniwersytetach zachodnich. Kto wie, czy dzisiejsze wyrażenie: „pisać na kolanie“, nie stąd wzięło początek. .

Kraszewski w jednej z najcelniejszych powieści swojej, zatytułowanej: „Zygmuntowskie Czasy“, dokładnie i zajmująco odtwarza życie i zwyczaje uczącej się młodzieży krakowskiej. Zapoznaje naprzód czytelnika z chłopcem sierotą, który podążył do Krakowa aż z Rusi, by w tej sławnej stolicy oświecić umysł, a następnie, przy pomocy zdobytej wiedzy, wywalczyć sobie uczciwe stanowisko. Opowieść znakomitego pisarza dajemy w streszczeniu.

Chłodnym rankiem jesiennym Kraków spoczywał jeszcze we mgłach, które nad nim zawisły, jak szara, wielka opona, gdy młody podróżny

zbliżał się ku niemu gościńcem od Rusi wiodącym. Już ukazały się wieże białe i czarne dachy nastrzępione kominami, chorągiewki i gotyckie facyatki kamienic; już dolatywał uszu dźwięk rozkołysanych dzwonów, rozmaitemi głosy wołających na modlitwę; już zaczynało blade i zimne słońce wrześnie wybijać się z za chmur i tumanów: gdy ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi jego, rzucił kij i sakwę podróżną, a sam usiadł, raczej zaś ze znużenia czy trwogi padł na ziemię. Oczy jego zwróciły się na miasto, stanęły nieruchome, zasłyły łzami, potem spuściły się ku ziemi i smutne pokryły się powieką.

I kto wie, co w tej chwili działo się w tej duszy, drgało w sercu? To pewna, że niejedna myśl ciężka przeleciała przez głowę, niejedno uczucie zatrzęsło piersią... I jemuż to płakać? jemuż myśleć tak głęboko? To dziecina jeszcze, której rówiennicy biegają po łąkach za motylem, za bąkami i śmieją się wesoło, tarzając po zielonej murawie. Dziecina, ale ją nieszczeście, czy cud i łaska Boża, uczyniły młodzieńcem przed laty. Widać z tych łzawych, mgłą zasłanych oczu, że już myśli; z czoła sfałdowanego — że cierpiał; z bladego lica, że mu i odrobina życia już zaszła goryczą.

A tak młody jeszcze, tak młody! Rozpoczął co najwyżej rok piętnasty. Cienki, chudy, słabowity, blady na twarzy, drobnych rąk, małych nóg chłopczyk, z siwemi dużemi oczyma, jasnym na ramionach włosem i uśmiechającemi się smutnie usteczkami. Na nim granatowy czekmanik wyszarzany; koszulka z grubego, szarego płótna, pod szyją wstążeczką czerwoną zawiązana; na głowie czapeczka mała, sukienka. Para butów wisi na kiju, który niesie na plecach, razem z lekkim podróżnym węzełkiem.

Jak gdyby się zląkł miasta, upadł na pagórku, zakrył twarz rękoma i płacze gorzko, a niekiedy podnosi oczy i znów je chowa w dłonie.

A na gościńcu gwar, ruch, bo gdy się miasto ze dniem obudzi, z okolicy spieszą nakarmić olbrzyma-stolicę i każdy niesie datek na zaspokojenie głodu jego. Tam fury siana, owsa, zboża; dalej wozy z powiazanemi bydlety, stada owiec na rzeź pędzone; wieśniacy pojedynczo, ten z nabiątem, ten kurką, tamten z wiankiem grzybów, z trochą jarzyny, z garnuszkiem masła, z zawiedłym serkiem. Na gościńcu gwaro, pył się podnosi kłębami, śpiewy, powitania, rozmowy rozlegają się wesołe, a Kraków coraz głośniej dzwoni we dwadzieścia, we czterdzieści, w sto dzwonów kościelnych. Grały dzwony coraz potężniej, aż rozbiły mgły wiszące nad miastem; gdy zaś one mgły wiatr porwał i poniosł daleko, wtedy słońce zajaśniało czyste, pozłociło kopuły, krzyże, dachy, chorągiewki, i zielone drzew wierzchy, i czerwone wieżyczki bram i murów. Chłopiec podniósł oczy, a ujrawszy ten nowy widok

przed sobą, zgarnął z głowy czapeczkę, ukląkł, przeżegnał się, począł modlić; łzy toczyły mu się po twarzy, jak krople rosy...

I choć ukląkł na pagórku, opodal trochę drogi, przecież niejedni jadący do miasta zapatrzyli się na niego. Niejedna kobieta dłużej się zatrzymała, westchnęła, a odchodząc, kilka razy zwracała głowę, żeby zobaczyć, czy jeszcze się modli. On modlił się i płakał ciągle.

Dwie przekupki wyjechały za miasto, chcąc taniej dostać, czego im było potrzeba na stragany. Wprawdzie ówczesne urządzenia zakazywały wyskakiwać tak na drogi i żywność wykupywać, ale zakazu nie słuchano. Owe dwie przekupki, pani Marcinowa i Pani Janowa, szły drogą, targując jaja i masło u spotykanych. Już jedna i druga miały sporo towaru w fartuchach, gdy ujrzały modlącego się chłopca.

— Patrzajcie-no jejmość — odezwała się pani Marcinowa.

— Abo niosą jaja? — zagadnęła pani Janowa.

— E! co mi jaja... A toć na pagórku ktoś klęczy i modli się..

— Gdzie zaś?

— Tam, na prawo.

— Prawda. Ale oto baba niesie garnek, pewnie z masłem...

— Patrzajcie-no, bo to przesłiczne chłopię. Jezu, co to za ładne niebożątko! Jak mi Bóg miły, Anioleczek, jeno mu skrzydeł brakuje!

— Ale jaja, pani Marcinowa...

— Wzięłoby je lichy! Patrzajcie, czego on się tak zamodlił, a łzy mu na oczętach błyszczą...

— Kto go tam wie? Chodźmy lepiej do masła.

— Patrzajcie no...

— Chodźcie bo potargować...

— Ale bo wy, kumo, nie zważacie!

— Modli się, to się modli — niech mu tam Pan Bóg da wszystko dobre, a my do jaj i do masła, bo dalipan nadejdzie kto...

— Ależ kumo, Anioleczek...

— Nie chcecie?

— Targujcie sami.

— Dopomóżcie mi...

— Zaraz, jeno podejdę i popatrzę. Wszakci on płacze, trzeba popytać, zobaczyć, może go jaka krzywda spotkała.

I pani Marcinowa zbliżyła się do chłopaka, tamta zaś do garnków z masłem i torbek z jajami.

— Dzień wam dobry, chłopczyku! — zagadnęła pani Marcinowa chłopca, który nie obejrzał się nawet.

— Patrzajcie, tak się zamodlił, że nie słyszy... — mruknęła przekupka i znów powtórzyła: — Dzień dobry, kochaneczku!...

— Dzień dobry, matko! — odpowiedział chłopiec, zwracając na kobietę zapłakane oczy.

— Cóżes się tak modlił i popłakiwał, hę?

— Alboż człowiek wie, skąd mu modlitwa i płacz przychodzi? Oboje Bóg daje...

Marcinowa głową ruszyła, szepcąc:

— Jaki rozumny! Gada niby ksiądz...

Po chwili zapytała:

— Z dalekaż wy?

— O, z daleka, matuniu!

— I pewnie do naszego Krakowa?

— A dokądżeby matko?

— Musicie mieć kogoś z sobą?

— Pana Boga.

Marcinowa ciągle głową kiwała.

— I tak sam jeden wędrowałeś aż tu? Miły Jezu, sam jeden?

— Różnie bywało, matuniu, ale po większej części sam jeden.

— Musicie mieć do kogoś zalecenie, albo pismo, albo jakich krewnych?

— Nikogo. Bożą opiekę i miłosierdzie ludzkie.

— Jakie ci to biedniatko! — litowała się Marcinowa. — Panie Jezu, z daleka, samo jedno, na łasce ludzkiej, na opiece Bożej... I nie bałeś się tak iść?

— A czegobym się miał bać?

— Złodziei, przypadków, Bóg wie! — dodała, żegnając się — złego ducha...

— Cóżby ze mnie wzięli złodzieje? Od złego ducha jest krzyż, na zły przypadek Anioł Stróż.

— Aż miło słuchać, taki dzieciak rozumny... A co myślicie robić w Krakowie?

— Nie wiem. I dlatego widzieliście mnie płaczącego, bo gdy mi już blisko tego Krakowa, o którym marzyłem, na który nadzieja cała, to mnie strach taki bierze, taki strach, matko...

Znowu zapłakał:

— Nie bójże się, dziecko, kto z Bogiem, Bóg z nim! Aniołowie Pańscy z tobą, mój kochany, nie opuści cię Matka Boża, Opiekunka sierot i biednych. Kraków wielki, jest w nim litości dosyć i chleba dostatek.

— Bogdajby mi słowa wasze, matko, dobrą były wróżbą... Niech wam Bóg za nie nagrodi.

— Niema za co... Ot, możeś nie jadł?

— Mam jeszcze chleba kawałek.



— Naści do niego, moje dziecko, gomółkę.

— Nie mam grosza...

— A któż cię o niego prosi? Później mi oddasz, kiedy ci się w mieście powiedzie. Znajdziesz Marcinową przy straganie w rynku, pierwsza budka od brzegu, zielono malowana, na kółkach, kogut czerwony na daszku. Poznasz! A jakby ci chleba zabrakło, wprost przychodź do mnie, kochaneczku! Zawsze łyżkę strawy znajdziesz.

Chłopak pocałował rękę przekupki i łyzy, ale łyzy radości, zabłysł mu w oczach.

— Niech wam Bóg zapłaci, dobra, litościwa niewiasto! — zawołał. — Nie urodziłem się na żebraka, na to, bym rękę do ludzi wyciągał... Ale Bóg tak chciał, niech będzie Jego wola. Nigdy nie zapomnę waszej jałmużny, będę się za was modlił do Boga. Teraz, po waszych słowach, śmieję i weselej wejdę do Krakowa.

Pani Marcinowa odeszła do kumy, a chłopiec wziął buty, zapiał suknię, roztrząsł włosy na ramiona i pojadając gomółkę, ruszył ku miastu.

Ale serce mu tak biło, że jeść nie mógł; schował tedy ser i wlepiwszy oczy w stolicę, której przedmieście pełne było gwaru i ruchu niedzielnego targu, szedł dalej, oglądając się, ustępując i pilnując ścieżki pod kamienicami. Wszystko mu się wydało dziwnem, wielkiem, strasznem prawie i cudownem. Dzwony niedzielne głużyły go, gwar niepokoił. Trafił na otwarte drzwi kościelne, więc zdjawszy czapeczkę, wszedł.

Msza ranna właśnie się odprawiać miała u Panny Maryi, przed ołtarz główny wyszedł ksiądz w ornacie złocistym, za nim dwóch chłopców w białych komeżkach. Ludzi niewiele jeszcze było. Kilku dziadów pod kruchtą, kilku mieszczan w odświętnem odzieniu w ławkach, kilka kobiet klęczących u kratek, które oddzielały presbiterium od nawy kościoła. Chłopak przykląkł w progu, uderzył czołem o ziemię, złożył ręce, a w tej chwili rozsunęły się firanki przed obrazem Matki Bożej, organ zahuczał, dzwonki zabrzmiały, nabożeństwo się zaczęło. On modlił się, modlił, a łyzy gorące na posadzkę kamienną spadały. Już ksiądz pobłogosławił lud pobożny i odszedł, a chłopiec nie wstawał jeszcze. Za nim słyhać było szmer: to dwoje chłopiąt, w jego wieku, przypatrując mu się, rozmawiało cicho:

— Patrzaj-no, Pawełku, jakiś obcy...

— I biedota, jak my, Janku.

— Pewnie. Bo czy modliłby się tak, gdyby nie był biedny?

— Zaczepim go, gdy będzie wychodził z kościoła.

Tak szeptały pachołeta, a tymczasem jakiś stary, w szarym koniuszu, siwego wąsa, wystrzyżonej czupryny, ponurej, namarszczonej

twarzy szlachcic, który podczas Mszy pilnie uważał na modlitwę gorącą podróżnego chłopca, przystąpił do niego i skinąwszy, przed kościół wywiódł. Tam patrzył mu długo w oczy, marszczył się okrutnie, węża gryzł, wreszcie zagadnął oburkliwie:

— Co ty za jeden?

— Sierota, panie.

— Hm, sierota... A skąd?

— Z daleka, panie. Z Rusi litewskiej.

— O! z Rusi? A z kimżeś przyjechał?

— Przyszedłem sam.

— Sam! Hm... Sam... Po co? Do kogo?

— Szukam nauki, życia, chleba...

— A tamże nie masz nikogo?

— Nikogo! — westchnął chłopiec ciężko, a łzy potoczyły mu się znów na rękaw sukmanki.

Siwy jegomość, wciąż gderając, podkasał poję szaraczkowego kontusza, wydobył sakiewkę, wyszukał w niej grosz biały i dał go chłopcu.

— Naści! Dobrześ się modlił, święcieś się modlił, Bóg ci to daje przeze mnie, nie ja... A nie popsuj się w mieście i nie odrzecz się modlitwy.

To powiedziawszy, odszedł tak spiesźnie, że chłopiec nie zdążył mu podziękować.

(D. c. n).



## Dawne nasze klasztory i świątynie.

### Czersk i Góra-Kalwarya.

Henryk wolność dopiero odzyskał, za wdaniem się jego żony Jadwigi, córki Bertolda, księcia Meranu, przybyłej do Czerska z gałązką oliwną pokoju i familijnej zgody. Ułożono nawet wtedy projekt związku małżeńskiego Bolesława, syna Konrada, z Gertrudą, córką Henryka i Jadwigi, lecz o ile szlachetne były zamiary pobożnej niewiasty, w poczet świętych zaliczonej, to nieszczerze było pojednanie się Konrada, który w 1233 roku 15-letniego Bolesława z matką Grzymisławą do Czerska zaprosił, w celu porozumienia się z sobą, w zamku ich uwięził. Internowani następnie do Sieciechowa, odstawieni znowu do Czerska i utratą może życia w tym razie zagrożeni, dzięki wstawieniu panów polskich: księcia wrocławskiego Henryka i Władysława, księcia gnieźnieńskiego, po raz wtóry wysłani zostali na zamieszkanie w zamku sieciechowskim nad Wisłą, skąd w rok później, ułatwił im ucieczkę Mikołaj, opat benedyktynów w Sieciechowie, z tej sposobności skorzystawszy, że Konrad zaprzątnięty był wtenczas wyprawą na prusaków. Przy pomocy księcia wrocławskiego Henryka, Bolesław do Krakowa powróciwszy, objął w posiadanie ziemie: krakowską, lubelską i sandomierską, a do pełnoletności doszedłszy, ożenił się z Kunigundą, córką króla węgierskiego Belli III.

Konrad tej zasady trzymał się, że cel uświęca środki i w tych nie przebierał, jeżeli tych samych Prusaków, przeciw którym w r. 1222, pod powagą papieskiej instancyi, do krucjaty nawoływał, wiódł potem wraz z pomorzanami, jadźwingami, i litwinami, na swego bratanka Bolesława, w latach 1241, 1242 i 1246. Kościoły wprawdzie budował i tych w kraju pozostającym pod jego panowaniem, liczono do 250,

lecz grasując po raz 5-ty ze swemi hordami w posiadłościach Bolesława, dóbr kościelnych nie oszczędzał, zniszczywszy dwory i wsie, należące do biskupa krakowskiego Prandoty, za co pozostawał pod biskupią ekskomuniką, na piotrkowskim synodzie przez Falka, arcybiskupa gnieźnieńskiego zatwierdzoną.

Przez lat 13 niepokojąc księcia Bolesława, zabrawszy mu ziemię sieradzką i łączycką w r. 1241, lecz nie uczyniwszy zadość swojej ambicji, co do posiadania i Krakowa, \*którym władał tylko tymczasowo w latach 1233, 1234 i 1241, trudami wojennymi nareszcie sterany, Konrad zakończył życie w Płocku 1247 r., pozostawiawszy trzech synów, z których Bolesław, za życia ojca otrzymał Mazowsze w r. 1236, Kazimierz objął Kujawy, a Ziemowitowi przypadły w udziale, ziemie sieradzka i łączycka.

2. Ziemowit I, najmłodszy syn i faworyt Konrada, książę mazowiecki na Czersku i Płocku (1247 — 1262), otrzymać miał właściwie ziemie sieradzką i łączycką, lecz gdy ze swą matką Agafią i bratem Bolesławem, modlił się za duszę ojca na nabożeństwach w Płocku, to drugi jego brat Kazimierz zabrał mu pomienione ziemie. Pozostawszy zatem bez żadnej dzielnicy, dopiero po śmierci swego brata Bolesława, księcia płockiego, w r. 1249, przyszedł Ziemowit do posiadania całego Mazowsza, ożeniwszy się później z wdową po nim, Gertrudą, i od tego czasu spuścizną po Konradzie, rozpadła się na dwie części: 1 — na ziemie łączycką, sieradzką i kujawską; 2 — na Mazowsze ze znaczniejszymi miastami: Płockiem, Liwcem, Węgrowem, Wizną, Nurem, Kamieniem, Czerskiem, Ciechanowem, Wyszogrodem i Pułtuskim.

Ziemiemi łączycką, sieradzką i kujawską, nie zadawalniając się, książę Kazimierz wkroczył 1254 r. w posiadłości Ziemowita, którego wraz z żoną jego Gertrudą, przez rok cały więził, lecz nie mając poparcia ze strony ludności Mazowsza, zniewolonym był wycofać się z zajętego kraju.

W Czersku, przez Konrada I obwarowanym, obrawszy sobie główną rezydencję, jako w bezpieczniejszej miejscowości aniżeli Płock, Ziemowit niespodzianie jednak napadnięty przez Rusinów i Litwinów w Jazdowie 1262 r. śmierć poniósł z ręki Swarowa, dowódcy Rusinów.

Z synów Ziemowita, Konrad otrzymał księstwo czerskie, a Bolesław II księstwo płockie.

3. Konrad II syn Ziemowita I (1262 — 1294) pierwszy udzielnym książę czerski, po tragicznej śmierci ojca swego, wzięty do niewoli, lecz przez Mendoga, wodza Litwinów ze okupem uwolniony, zniszczony przez litwinów zamek w Czersku odbudowawszy i trzy najścia Prusaków odparłszy, panował potem w spokojniejszym już czasie, wyjąwszy niefortunnej wyprawy na Kraków, do której zachęconym będąc przez



tegoż księcia, przy pomocy Węgrów i Kumanów pobitym został, nieopodal Bogucia nad Rabą.

Ożeniony z Jadwigą, córką Bolesława Łysego, księcia lignickiego, zmarł Konrad bezpotomnie w Czerwińsku nad Wisłą 1294 r.

4. Bolesław III, syn Ziemowita I, książę płocki (1262—1294), po śmierci swego brata Konrada II księcia czerskiego, władcą całego Mazowsza (1294 — 1313), z Zofią, córką Trojdena, wielkiego księcia litewskiego, ożeniony w r. 1279, wybudować kazał niewielki kościół ś-go Jana w Warszawie.

Bolesław umarł w Wyszogrodzie 1313 r., pozostawiwszy trzech synów, z których Trojden otrzymał księstwo czerskie, Waclaw płockie, Ziemowit II ziemie wiską i ciechanowską, z ziemi płockiej wydzielone, oraz ziemie sochaczewską od księstwa czerskiego oddzieloną, ze stolicą w Sochaczewie.

5. Trojden, syn Bolesława III, książę na Czersku, Rawie i Litwie (1313 — 1341), ożeniony z Maryą, córką Andrzeja Włodzimierza, księcia na Włodzimierzu i Czerwonej Rusi, zaznaczył swe panowanie wysokim poczuciem sprawiedliwości, tem się troszcząc, by nikt pod jego rządami nie był uciśnionym. W tym przeto celu, posiadłości swe często zwiedzał, sam różne sprawy rozsądzał i i nieuprawiane grunta po wojnie osiedlał.

Zabezpieczając się od Litwinów, którzy, pomimo pokrewieństwa Trojdena z litewską wielką książecą rodziną, część Mazowsza spustoszyli w latach 1337 i 1338, zamek czerski obwarował i rozszerzył, oraz dwór książęcy w Warszawie murem opasał.

W r. 1339, przed zawarciem pokoju między Kazimierzem Wielkim i Krzyżakami, za inicjatywą Trojdena, Warszawa, jako posiadająca już wtedy wiele dogodnych domów, wyznaczoną była na zebranie sądu apostolskiego, złożonego z Golharda de Carceribus i Piotra Gerwazego, kanonika d' Annecy, w charakterze delegatów papieskich. Przybyli wtedy Kazimierz, książę kujawski, Leszek, książę inowrocławski, Janisław, arcybiskup gnieźnieński, Jan z Kępy Łódzia, biskup poznański, pięciu wojewodów i kasztelanów, opaci, urzędnicy dworscy i ziemscy. W ogóle czterdziestu pięciu świadków składało swe zeznania przed tym sądem, a ponieważ wielki mistrz Krzyżaków ze starszyzną nie stawiał się, przeto zapadł zaoczny wyrok.

Z trzech synów Trojdena w r. 1341, Bolesław, ożeniony z córką Gedymina, wielkiego księcia litewskiego, po wygaśnięciu panującej w Czerwonej Rusi dynastii, w linii żeńskiej, jako najbliższy sukcesor przez swą matkę, kraj ten objawszy w posiadanie (1327) otrutym został przez bojarów w r. 1340. Kazimierz otrzymał Warszawę, Ziemowit — Czersk.

6. Ziemowit III (senior), syn Trojdena, najpierw książę mazowiecki na Czersku, książę bełski po śmierci brata Bolesława w r. 1340, panujący ostatecznie nad całym Mazowszem (1370 — 1381) pojął był za żonę Eufemię księżniczkę opawską v. śląską.

Po śmierci Bolesława, księcia płockiego, syna Wacława, który zginął (1351) w wyprawie na Ruś. Kazimierz Wielki, pozostające w lennej zależności od Czech księstwo płockie, w swe posiadanie objawwszy, by rozerwać ten nienormalny stosunek z obcem państwem, oddał to księstwo we dwa lata później, tytułem zastawu, Kazimierzowi, synowi Trojdena, księciu warszawskiemu, a ziemię wiską otrzymał Ziemowit na trzy lata. Wkrótce jednak po tej dyspartycji, umarł Kazimierz w r. 1354, lecz z prawa sukcesji po bracie swoim, Ziemowit nie będąc dopuszczonym do objęcia ziemi płockiej, którą Kazimierz Wielki rozkazał przyłączyć do Polski, dopiero po złożeniu uroczystego hołdu królowi w Kaliszu, w dzień ś-go Jana Ewangelisty 1358 r., z solennem oświadczeniem wobec biskupa poznańskiego, Klemensa Pierzchały, oraz mazowieckich dygnitarzy, „że wszelkie ziemie on i jego potomkowie posiadać nadal będą, nie z prawa dziedzictwa, lecz jako lenne z łaski króla”, utrzymanym był przynajmniej przy posiadaniu części Mazowsza, bo Kazimierz Wielki zajęte poprzednio ziemie: sochaczewską, płocką i rawską, przy sobie utrzymać postanowił do śmierci. Tym więc sposobem, niewcześniej jak w r. 1370, mógł przyjść Ziemowit do posiadania całego Mazowsza, stanowiącego już lenność korony, od czasu zobowiązania się jego pod tym względem w Kaliszu.

Czersk za uprzywilejowaną sobie rezydencję obrawszy, książę Ziemowit zamek do porządku przyprowadził i w dokumentach tam najczęściej datowanych, tytułował się Ziemowitem (starszym) lub Ziemowitem Trojdenem, dla odróżnienia się od swego syna, któremu było także na imię Ziemowit.

Pozostawił on córkę Annę, żonę Witolda Kiejstutowicza oraz dwóch synów, z których Ziemowit (zwany Jagiellończykiem), ożeniony z Aleksandrą Olgierdówną, siostrą Władysława Jagiełły, otrzymał za życia ojca, ziemię rawską, płocką, sochaczewską, płońską i gostyńską, a Janusz ziemię czerską i inne.

(D. c. n.)

*A. Deboli.*





Chiny. Jun-Czeng, podług fotografii.





## Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

6

*Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy,  
wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego.  
Czytaj, rozważaj i wznos serce do Boga, źródła wszelkiego dobra  
i szczęścia.*

### Azja: Chiny.

Monsignor Reynaud, biskup w Cze-Kiang, w Chinach, napisał bardzo zajmujące opowiadanie o pewnem nadzwyczajnem chińskiem dziecku, któremu Bóg nie tylko przywrócił zdrowie ciała, lecz równocześnie uleczył i duszę. Pospieszamy za „Misjami Katolickimi“ podać do publicznej wiadomości budującą tę opowieść. Niechaj ona posłuży Czytelnikom naszym za jeden dowód więcej, że choć wiara sama w tem rozległem państwie chińskiem tylko powolne robi postępy, to misyonarz spotyka tu jednakowoż nieraz dusze wybrane i ma sposobność podziwiać bezpośrednie działanie łaski Boga—cuda.

Skutkiem jednego z tych niewypowiedzianych dobrodziejstw, których przyczyna samemu tylko Bogu wiadoma, zdarza się tu nieraz, jak z owymi trędowatymi z Ewangelii, którzy szukają tylko uleczenia ciała, a równocześnie znachodzą i uzdrowienie duszy.

Taką jest historia młodzieńca, którą Wam opowiedzieć zamierzamy.

\*

\*

\*

Było to w Chinach, w mieście Cze-Kiang.

Mieszkała tam wdowa młoda nazwiskiem Suen-Czina.

Wkrótce po śmierci pierwszego męża, zaczęto jej proponować wiele korzystnych partyj, ona jednakowoż z początku odrzucała wszystkie bardzo energicznie. Przekonawszy się atoli, że nią pogardzają, wyniosła się z nią obchodzą, jednym słowem — widząc, że jest ciężarem rodzinie nieboszczyka męża i brata, zgodziła się wreszcie wyjść po raz drugi za mąż. Kuzyn jej męża, palacz opium, gracz — krótko mówiąc — skończony łotr, nie chcąc pominąć sposobności zarobienia przy tym interesie kilkudziesięciu ligatur (100 do 150 może rubli), zabrał się energicznie do dzieła, aby ją na nowo wyswatać. Młode wdowy są wszędzie w Chinach nadzwyczaj poszukiwane.

Krewny Suen-Czina dowiedział się od swych przyjaciół w Kin-Te-Czeng, że pewien młodzieniec, pracujący tamże w wielkiej fabryce porcelany, chciałby się ożenić jak można najprędzej. Otóż tego kandydata proponuje swat naszej wdowie, a ta, skutkiem usilnych jego prób zgadza się wreszcie oddać rękę temu nieznanemu sobie zupełnie człowiekowi, pod tym jednakowoż warunkiem, aby wraz z nią przyjął do siebie ukochanego jej synka Jun-Czenga, który wtedy kończył szósty rok życia.

Aby tem prędzej dojść do upragnionego celu, kuzyn jej zdecydował się na podróż uważaną w tym kraju za długą, gdyż podjął się odprowadzić wdowę wraz z dzieckiem do miasteczka, w którym przebywał upatrzony kandydat do małżeństwa. a które od miejsca zamieszkania wdowy o 400 *lysów* (160 kilometrów) było odległe.

Najęto łódkę, i wszyscy troje wyruszyli w podróż.

W połowie drogi, w miasteczku Jao-Czeu-fu, swat nasz wysiada na ląd i udaje się do wspólnego domu oficyalistów municypalnych obwodu Han-Czang, gdzie miał prawdopodobnie znajomych. Zresztą palacze równie jak i gracze niezrównany posiadają talent do jednania sobie w krótkim przeciągu czasu przyjaciół. Zaczynają rozmowę i gdy swat nasz wyjaśnił im powód i cel swej podróży, starają mu się wytłumaczyć — i to nie bez racji — że darmo traci czas i fatygę na odwiezienie młodej wdowy do Kin-Te-Czeng, bo i jednej może na tym całym interesie nie zarobi *sapeki* (grosza).

Skutkiem tych przedstawień, swat nasz, woląc coś pewniejszego, stara się tu wydać za mąż kuzynę. — Wszystko mu jedno, czy będzie ona mieszkała w Jao-Czen, czy w Kin-Te-Czeng, lub gdziekolwiekby indziej, byleby on na jej zamażpójściu dobry zrobił interes!

Jeden z obecnych wspomniał, że ma brata mieszkającego stąd o czterdzieści *lysów*, który oddawna chciałby się ożenić. Ponieważ jednakowoż nie bardzo wierzył słowom dopiero co poznanego przyby-

sza, woli zatem, zanim przywoła brata, sam zdać sobie sprawę z prawdziwego położenia rzeczy. Pod pozorem handlu płótnem, udaje się więc na łódź, aby się naszej wdowie przypatrzeć i przekonuje się, że opis jej wdzięków wcale nie przesadzony i że wszystko, co słyszał, jest prawdą.



Chiny. Typy mieszkańców Junnanu.

Zajął się więc bezzwłocznie wyszukianiem brata, który właśnie w tym dniu dla załatwienia rozmaitych spraw i interesów był w mieście obecnym.

I ten pod tymże samym pozorem i z tegoż samego powodu udaje się na łódkę. Szczerą, otwartą i pełną wdzięku twarz wdowy bardzo



miłe na nim robi wrażenie. Czekala ona cierpliwie, nie domyslaając się bynajmniej, że jest przedmiotem tych wszystkich intryg.

Przy tych drugich odwiedzinach wreszcie otworzyły jej się oczy i zaczyna przeczuwać, co się święci. Woła zatem kuzyna i — mówiąc po chińsku, obsypuje go gradem wymówek, które tenże przyjmuje zupełnie spokojnie i żadnej na nie nie znajduje odpowiedzi. Czuł on bardzo dobrze słuszność wszystkich czynionych mu wyrzutów, lecz mógł je znieść spokojnie, byleby tylko sobie dobrze napełnił kieszenie. Skutkiem tej swojej łagodności i uległości otrzymał wreszcie od wdowy więcej lub mniej wymuszone przyzwolenie. Zresztą i ona sama nie widziała innego sposobu wyjścia z tego trudnego położenia, jak poślubić nowego męża.

Wysiadają zatem na ląd, aby spisać dokument w takich razach wymagany. Swat wcale niezły robi interes, gdyż kupujący musiał mu za wdowę zapłacić piękną sumkę 70 — 80 *ligatur* (200 rubli).

\* \* \*

Drugi mąż, który pod względem roztropności i zdolności bynajmniej nie dorównywał Suen-Czinowi, miał w Sse-Czen-ly-kai, małej wiosce na drodze do Kin-Kiang, leżącej o czterdzieści lysów od Jan-Czen-fu, sklepik z ogniami sztucznymi, w którym zatrudniał pewną liczbę robotników. Żona jego pojęła wkrótce doskonale przemysł ten w Chinach tak zwyczajny, skutkiem czego położenie jej męża wkrótce znacznie się polepszyło.

\* \* \*

Jun-Czeng ma lat siedm.

Matka i ojczym, który go kochał, jakby to było rodzone jego dziecko, chcąc mu dać odpowiednie wykształcenie, postanawiają posyłać go na naukę do nauczyciela w odległości dwóch wiorst mieszkającego. U niego ma dziecko spędzać dzień cały, co wieczór jednakowoż powracać do matki.

Jun-Czeng był chłopcem nadzwyczaj rozkosznym i figlarnym, lecz właśnie skutkiem tej wesołości i żywości, był ulubieńcem wszystkich; nauczyciel jego do dziś dnia jeszcze z przyjemnością o nim wspomina.

Naprzeciw domu, w którym mieszkali rodzice Jun-Czenga, przy wejściu do miasteczka, trzeba było przebywać potok, którego woda w czasie wielkich i gwałtownych deszczów wzbierała do tego stopnia,



że zalewała zupełnie most. Dzieci, które idąc do szkoły przez most ten koniecznie przechodzić musiały, zdejmowały zwykle obuwie i ku wielkiej swej radości boso na drugi brzeg strumienia się przeprawiały. Matka Jun-Czenga nie pozwalała mu nigdy przebywać mostu w ten sposób, gdyż obawiała się, aby skutkiem tej kąpieli nie poniósł jakiego szwanku na zdrowiu. Jeden z sąsiadów ofiarował się przewozić co ra-



Chiny. Bożki i dobre duchy w świątyni pogańskiej.

no Jun-Czenga na łódce, a wracając ze szkoły, chłopiec potrzebował tylko zawołać z przeciwnego brzegu, aby usłużny przewoźnik natychmiast przybywał.

Chociaż miłość własna młodego ucznia była tem mocno dotkniętą, że nie mógł postępować tak samo, jak jego koledzy, mimo to stosował się do życzenia matki, gdyż był tak dobrym synem, że wszelkim jej

rozkazom, choćby nawet przykrość sprawiać mu miały, zawsze był posłusznym. Przewoźnik ze swej strony, z przywiązania dla dziecka i rodziców, nigdy długo na siebie czekać nie dał. Tymczasem pewnego wieczora Jun-Czeng dwa czy trzy razy napróżno go wołał; uszczęśliwiony nadzwyczaj, że go się dowołać nie może i że raz przynajmniej przeprawić się może tak, jak jego towarzysze zwykle się przeprawiali, zdejmując obuwie i wchodzi na most.

Lecz zaledwo postawił nogę w wodzie, gdy nagle chwytą go kurcz, żyły wszystkie się wyprężają, nie może się cofnąć ani naprzód postąpić i w tem położeniu pozostaje kilka chwil w wodzie. Przewoźnik, widząc to, spieszy o ile wioseł starczy i zabiera go do łódki. Trzeba było chłopca położyć do łóżka. Przez kilka miesięcy znajdował się pomiędzy życiem a śmiercią. Trudno sobie wyobrazić rozpacz rodziców; nie odstępowali go ani na chwilę i nieraz przy jego łóżku zanosili się od płaczu. Doktor przechodni, którego wezwali do chorego, poinformowawszy się dokładnie co do początku i objawów słabości, całemi godzinami badał puls chorego i wreszcie zaordynował mu lekarstwo, skutkiem którego stan jego nieco się polepszył. Dziecko mogło znieść nieco pożywienia, zaczęło powoli wstawać i wreszcie mogło na nowo zacząć chodzić do szkoły. Lecz pozostało wątłe i chorowite, a wkrótce nową i szczególną nawiedzone zostało słabością: jadło bardzo mało, źle trawiło pokarmy i w ciągłych znajdowało się potach.

W tym stanie doszedł Jun-Czeng do trzynastego roku życia; od pięciu czy sześciu lat zażywał lekarstw za cztery do pięciu sapeków dziennie, a mimo to najmniejszej nie czuł ulgi, stan zdrowia jego owszem coraz więcej się pogarszał.

Środki sztuki lekarskiej były wyczerpane i według zdania wszystkich lekarzy słabość była nieuleczalna. Nie miał jeszcze lat piętnastu... Biedna matka! ileż łez wylała nad stanem najdroższego swego jednaka!

Lecz wyroki Boże różnią się wielce od wyroków ludzkich!

Jun-Czeng miał usprawiedliwić swe imię i skutkiem poznania prawdziwego Boga miał „wznieść się aż pod obłoki”.

\* \* \*

Z pomiędzy kilku robotników, jakich zatrudniali jego rodzice, jeden z nich imieniem Czung-Kin-Cze, pochodzący z licznej i dość za-  
możnej rodziny, pozostawał w stosunkach z dawnymi chrześcijanami, a poznawszy zasady wiary świętej, nie wahał się wyznać publicznie, że jest szczerym wyznawcą i wielbicielem prawdziwego Boga.

Rodzice jego bardzo rozgniewani, że przyjął religię Europejczyków, z początku surowo go upominali, aby porzucił znieprawdzone to wyznanie, a gdy wszystkie przedstawienia ich mało obchodziły naszego neofity, w którego sercu wiara głębokie zapuściła korzenie, spodziewali się, że łatwiej im będzie dopiąć swego celu gwałtem, więzieniem i razami.

Lecz i te środki na nic się nie zdały: Czung-Kin-Cze pozostał nie-wzruszonym.

Widząc zmartwienie gospodarza z powodu choroby ukochanego dziecka, do którego i on równie gorąco był przywiązany, odezwał się pewnego razu do rodziców więcej dnia tego znekanych i zmartwionych niż zwykle:

— Dziecko wasze długo już żyć nie będzie, żadne środki mu nie pomagają, lekarstwa nawet mu szkodzą. Jest w świecie tylko jeden prawdziwy lekarz, Bóg, Stwórca i Pan najwyższy nieba i ziemi. Do-  
tąd nie chcieliście wierzyć w prawdziwość mojej religii, obiecuję wam, że dziecko to, jeżeli zostanie chrześcijaninem, wyzdrowieje zupełnie.

Mowa ta bardzo małe na rodzicach Jun-Czenga wywarła wrażenie, lecz ponieważ życzyli sobie gorąco wyzdrowienia syna, zezwolili przeto, aby został chrześcijaninem. Dziecko, o ile mu na to pozwalały słabe jego siły, kształciło się tymczasem dalej i pomimo opłakanego stanu zdrowia i płochości wieku zadziwiające czyniło postępy.

Otrzymawszy zezwolenie rodziców, Jun-Czeng z zapałem i wytrwa-  
łością zabrał się do uczenia się z katechizmu prawd naszej wiary świętej. A gdy co rano i wieczór zaczął z Czung-Kin-Cze odmawiać pacierze, stan zdrowia jego polepszał się z dnia na dzień, i po upływie miesiąca nie pozostało ani śladu dawniejszych jego cierpień.

Pomimo tego widocznego cudu rodzice jego jeszcze nie uwierzyli, pewnego dnia jednak matka dozwoliła się wzruszyć łasce Bożej, której sama na sobie doznała. I ona również przeszło od roku cierpiała na silną migrenę, która choć jej nie przeszkadzała w jej zwykłych zaję-  
ciach około domu i gospodarstwa, powracała jednak codziennie.

Skoro tylko zaczęła się modlić, ból głowy stawał się coraz rzad-  
szym i słabszym i po upływie miesiąca znikł zupełnie. Podwójny ten objaw potęgi Bożej nie wystarczał jednakowoż jeszcze do nawrócenia męża. Bóg raczył moc swą objawić mu w sposób jeszcze o wiele wy-  
bitniejszy.

Sam Czung Kin-Cze od dość dawnego czasu dotkniętym był świerz-  
bem, chorobą w tym kraju dość zwyczajną, a zawsze bardzo trudną do  
wyleczenia, jeżeli ją się z początku zaniedbało. Na rękach i plecach  
straszliwe miał rany, które nie dozwalały mu się poruszać i przykuwa-



ły go do łoża boleści. Choroba toczyła ciało i dotknięte nią części strasznie pokryte były wrzodami.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Kin-Cze wspominał o tem, że ma zamiar udać się do Jao-Czen o 40 lysów (4 — 5 mil) odległego, aby tam święta przepędzić.

W chwili, gdy miał wyruszyć w drogę, gospodarz w twarz mu się roześmiał, radził mu, aby kazał wieźć za sobą trumnę, upewniając go, że więcej nie wróci.

— Nic nie szkodzi — odpowiada Kin-Cze — chcę iść się modlić!

Poczem przed samem wyjściem pokazał gospodarzowi rany, jakimi był pokryty. Ten przekonawszy się na własne oczy o ciężkiem cierpieniu robotnika, odradzał mu gorąco, aby w podróż zamierzoną nie wyruszał i aby nabożeństwo swe w domu odprawił. Lecz Kin-Cze od zamiaru swego odstąpić nie chciał i przemocą chyba w domu zatrzymaćby go było można. Wyrusza w drogę. W miarę, jak się posuwa naprzód, zdaje mu się, że nogi jego pozbywają się krępujących je więzów. Choć z wielkim trudem i wysiłkiem, przybywa wreszcie do miasta Jao-Czen Fu, celu swej podróży, lecz tu musi się natychmiast kłaść do łóżka. Mimo to w dzień wigilii, zapominając najzupełniej o swem zmęczeniu i chorobie, przyłączyła się do znacznej liczby modlących się chrześcijan. Około północy w całym ciełe straszne czuje boleści, które trwają godzinami, lecz mimo to nie przestaje się gorąco modlić pobożnie na klęczkach, prawie do samego rana. Z brzaskiem dnia cierpienia jego ustają, ogląda więc swe rany.

Jakżeż ogromnie się zdziwił!

Nie widzi i śladu strasznej choroby, jaka przez tyle lat go toczyła. Kin-Czen nie posiada się z radości! Biegnie do kaplicy.—Wszyscy wołają, że to cud i dziękują zań Przenajświętszemu Dzieciatku Jezus.

Kin-Czen nie ociaga się z powrotem, aby i gospodarz jego mógł oglądać cud, którego on doznał.

Gospodarz, zaledwie go ujrzał i zauważył pewny i śmiały krok, jakim postępował, zawołał:

— Teraz wierzę, że Bóg twój prawdziwym jest Bogiem!

\*

\*

\*

Podczas najbliższej bytności misjonarza cała rodzina prosiła go o udzielenie jej Chrztu świętego.

Jun-Czeng na Chrzcie świętym otrzymał imię Pawła (Paolo). Drogie dziecko, obys nigdy nie utraciło tej aureoli niewinności, jaka dzisiaj otacza twe czoło!





**Chiny. Kościół Matki Boskiej Boleśnej w Cze-Kiang, podług rysunku księdza-Chińczyka.**



Jan Paolo przez rok cały pozostawał w mej służbie. Obecnie jest w szpitalu Kin-Kiang w nauce u angielskiego lekarza. Gdybym w przedzień mych święceń był znał Paola, nie byłbym się wahał ani chwili oddać go do seminaryum duchownego i przekonany jestem, że byłby z niego nadzwyczaj zdolny kapłan.

Obecnie trudność, jakąby mu sprawiało nauczanie się łaciny, ławoby go mogła zniechęcić. Będzie on nam oddawał usługi na innem, niższem stanowisku.

Ucząc się u lekarza Europejczyka, karierę ma sobie już wytkniętą. Chce, aby wkrótce zamieszkał przy matce i stanął na czele apteki europejskiej w stolicy tego obszernego obwodu, gdzie religia, choć postawiona dość dobrze, stosunkowo mało dotychczas liczy zwolenników. Jestem przekonany, że lecząc ciało, niepospolity ten Chińczyk nie zapomni równocześnie o zbawieniu duszy swych pacjentów.

(D. c. n.)



# **Historya illustrowana Kościoła Świętego RZYMSKO - KATOLICKIEGO w obrazach i życiorysach.**

---

## **Obraz XIII.**

### **„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy“**

**Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.**

## **SCENA XXXIII.**

**Ciż i Kwintus.**

**Olympiusz.**

(postępuje szybko naprzeciw wchodzącemu ludowi i spotyka prowadzonego Kwintusa).

**Tyżes to, nędzniku?**

**Kwintus.**

**Tak, jam jest nędznik! — słyszę to w ich krzyku,  
Słyszę w sumieniu; — czuję, żem proch marny.**



**Olympiusz.**

Precz z nim! — niech święci! — dać mu nóż ofiarny!

(Kapłani podają nóż).

**Kwintus** (odpychając).

Nie, nie! — on dymi krwią mojego Zbawcy!

**Olympiusz.**

Nędzny! święć Bogom! — lub gdzie są oprawcy?

**Kwintus.**

O, tak, tak! groźcie! — tak! wygrana wasza!  
Groźcie! jam nędznik! — Słyszę głos Judasza!  
Woła mię... idę! — Prawdęś rzekł, Saturze!  
Biada! kto grzeszny ufa w swej naturze.  
Dajcie! (porywa nóż) Mąk, wżgardy, nie śmierci się boję.  
Co Bóg odrzucił — szatanie! bierz swoje!

(Chce się uderzyć nożem — nagle odrzuca go i pada na kolana).

Ach!... Felicito! tyś mię wyzwoliła!

**Olimpiusz.**

Kto? nikczemniku! Kto? — Wiesz-że ty, czyje  
Imię rzec śmiałeś?...

**Kwintus** (porywyjąc się z ziemi z zapalem).

Świętej, co tu była,

I uleciała tam... (ukazuje na niebo).

**Arcykapłan** (z wykrzyknieniem rozpacz).

Ona nie żyje!

Czuję to! —

**Olympiusz.**

Starcze! precz widma boleści!

## SCENA XXXIV.

Ciż i żołnierz, wysłany przez Olympiusza w scenie przedostatniej,  
wchodzi z pośpiechem.

**Olympiusz.**

Tyś od Aspera! Gdzież jest? jakie wieści?  
Mów, mów!

**Żołnierz.**

Vulpiskus, ze swymi kapłany,  
Nigdzie nie znalazł ucha; lud zebrany  
Męczeństw jest tylko zajęty widokiem.

**Olympiusz.**

Lecz gdzież jest Asper?

**Żołnierz.**

Nimem między łokiem  
Mógł się ku niemu przedrzeć w Hippodromie,  
Ujrzałem ogień: buchające płomie  
Już ogarniało stos, na nim, u pala,  
Stał starzec Satur, a przed stosem zdala  
Obie niewiasty: — Asper między niemi.  
Każdą z nich dzierżał za rękę: — a one,  
Z twarzą, z oczyma w starca wlepionemi,  
Dwie wolne ręce w górę podniesione,  
Zda się, że chciały ulecieć od ziemi. —  
Wtem Pomponiusz z żołnierzami swymi...

**Olympiusz** (przerywając).

Porwał je, mówisz?

**Żołnierz.**

Nie!... Gdy okrzyk zgrozy  
Wzrok mój odwrócił.. jak się stało, nie wiem.  
Lecz gdym znów spojrzał w stos — starca powrozy,  
Same, czy może przetłone żarzewiem,  
Pękły, że wolno wyciągnął ramiona,

Jakby miał kogoś przytulić do łona.  
I wtem ujrzałem — jak dwa lekkie duchy,  
Przez chmury dymu, przez ognia wybuchy,  
Po drewnach stosu, dwie postaci w bieli,  
Jakby je skrzydłem wznosili Anieli,  
Szczęblując, wbiegły na wierzchołek stosu;  
Kłękły przed starcem; uchyliły skronie —  
On wzniosł nad niemi rozpostarte dłonie,  
Wzniosł oczy w niebo: — a dźwięki ich głosu  
Zlały się w jeden chór, hymn, tak wesoły,  
Tak uroczysty, jakby im Anioły  
Wtórzyły z nieba! — O, błogosławieniu!  
Co tak konają! — A wtem blask płomieni  
Oblał je w koło!...

**Olympiusz** (z gwałtownością).

A Asper?

**Żołnierz.**

O, Panie!

Bóg go spać przez nich oświecił w tej chwili,  
Bo sam widziałem — on i chrześcijanie,  
Ilu ich było — wszyscy się rzucili  
Na twarz przed stosem; wszyscy uwielbili  
Prawego Boga cześć i moc widomą,  
Jak ja Go wielbię przed tobą i Romą!

---

#### SCENA XXXV.

Ciż i Asper.

**Olympiusz.**

(postrzegłszy wchodzącego Aspera, dobywa miecza i rzuca się  
ku niemu).

Zdrajco!

**Asper** (odkrywając pierś).

Masz, uderz! — lecz wierz! jest Bóg żywy,  
Bóg chrześcijański! Słyszałem straszliwy

Głos Jego w sobie; spełniłem głos Boga.  
Kaź mię wieść na śmierć! Świętych niewiast droga  
Jest drogą moją! Biada naszej dumie,  
Że chcemy Boga szukać w swym rozumie!  
On tam! — moc Jego przyszła na mnie z gory.  
Kaź mię wieść na śmierć! W męczarniach tortury  
Wyznam Go. Dla mnie niema już nic, czego  
Mógłbym tu żądać — prócz śmierci dla Niego.

**Olympiusz** (uderzając się w czoło).

Ha!

**Arcykapłan** (do Aspera).

Gdzież jest ona? gdzie? mów!

**Asper** (z zapalem).

Ona święta!

Ona szczęśliwa! Ona w niebo wzięta!  
Nie płacz tu po niej: — kres twój niedaleki.  
Lecz myśl, byś tam ją oglądał na wieki!

(D. c. n.)





## Sławni Dostojnicy Kościoła.

### III.

#### Stanisław Hozyusz.

Józef Szujski w dziele „Odrodzenie i Reformacya w Polsce“ pisze o Hozyuszu, pomiędzy innemi:

Gdy biskup Gamrat udawał się na synod do Piotrkowa, Hozyusz napisał mu mowę, wzywającą potężnemi słowy duchowieństwo do gorliwości pasterskiej, w której znajdował się taki ustęp:

„Te przyszły na nas czasy, że niema błędu tak niepobożnego, któryby nie miał swoich chwalców. Niech dowodem będzie kobieta, spadła w dyecezyi mojej na taki stopień nieprawości heretyckiej, że żaden z heretyków dotąd tak okropnie nie zbłądził (rzecz tu o Melchiorowej z Żalaszowskich Wejglowej, bogatej mieszcze krakowskiej, która porzuciwszy wiarę katolicką, wiarę żydowską wyznawała). Gdyby na czas leczono jej duszę, nie byłaby do końca wytrwała w swoim okropnym uporze.

W innem miejscu Szujski mówi:

Dwóch mieliśmy w XVI wieku prawdziwie znakomitych wojowników za wiarę katolicką: Hozyusza i Kromera. Obaj mieszczańskiego pochodzenia, obaj zawdzięczający swoją karierę oporności Jagiellonów, z jaką posuwali zdolnych synów mieszczan wbrew namiętnej szlacheckiej wyłączności, obaj niechętnie widziani przez szlachtę polską, jako pół-Niemcy, a przez szlachtę pruską, jako uszlachceni przez Polaków. Obaj, jeżeli przyłożymy charakterystykę umysłowości, jako miarę, umysły zbyt systematyczne, trzeźwe, akuratne, w myśleniu i w wyrazie myśli do unoszenia się i tracenia miary nie skłonne, nadewszystko zaś

zbyt niestrudzenie i równo ciągnące taczkę pracy, abyśmy o nich powiedzieć mogli, że są polskiem; obaj, jeżeli przyłożymy drugą miarę—przywiązania do Polski i Polaków, niezawodnie Polacy.

Hozyusz mianowicie, pomimo wielkiego i międzynarodowego stanowiska, jakie zajmował; mimo niechęci, jaką w nim budziła różnowercza Babilonia w Polsce; mimo niezgody na pobłażliwość króla na heretyków: to Polak i katolik, niestrudzony w śledzeniu spraw i rzeczy polskich, utrzymywaniu swego przeważnego na umysły wpływu. Widzimy w nim zapal do spraw i interesów polskich.

Pięknie pisze o Hozyuszu „Wielka Encyklopedia”. Powiada między innymi:

Hozyusz był jednym z najznakomitszych dostojników Kościoła polskiego w ogólności, a bezprzecznie najznakomitszym biskupem polskim w wieku XVI. Papież Paweł IV posługiwał się we wszystkich ważniejszych sprawach jego światłą i doświadczoną radą, twierdził bowiem, że od kiedy go poznał, przestał podziwiać wszystkich innych społecznych a podziwu godnych mężów. Po śmierci Piusa IV, znaczna liczba głosów padła na niego, jako najzdolniejszego do objęcia rządów Stolicą Apostolską w tak smutnych dla Kościoła czasach. Na wiadomość o jego śmierci, Papież Grzegorz XIII zawołał:

— Straciliśmy potężny filar Kościoła Bożego, ozdobę i chlubę naszego kolegium i dworu. Już tam ten święty kardynał modli się pewno za nami do Boga.

To samo mniemanie o świętości w ogóle i osobie Hozyusza żywił zupełnie słusznie cały ówczesny świat katolicki. Do czci doznawanej dawał mu prawo charakter nieskalany i cnota w duchu prawdziwie apostołskim. Osobiście udzielał Sakramentów, starał się usilnie o podniesienie oświaty w Polsce, sądownictwo warmijskie jemu zawdzięcza swój rozwój i skuteczność, czuwał bowiem nieustannie, by sprawy załatwiano jak najszybciej i bez względu na osobę. Nawet handel i przemysł naszego kraju doznawały ojcowskiej jego opieki, zwłaszcza wskutek zmniejszenia danin i opłat, w których nakładaniu tak był oględnym, iż zamiast 40 tysięcy złotych, otrzymywał ze swoich dóbr książęcych i biskupich zaledwie 20 tysięcy.

Naostatek zdamy czytelnikom relację z tego, co o Hozyuszu mówi najznakomitszy z naszych poetów, genialny Adam Mickiewicz. Portret Hozyusza, przez niego nakreślony, jest arcydziełem w swoim rodzaju, a to mu dodaje wartości, że Mickiewicz oraz zarysował tło sto sunków, wśród których żył i działał wiekopomny dostojnik Kościoła. Píše tedy Mickiewicz:

Lata panowania Zygmunta Augusta są niezmiernie płodne w uchwały i nowe postanowienia prawodawcze. Można tu nawet dostrzedz po-

częcie się konstytucyi, zawiązki tych wszystkich ustaw i porządków, jakimi potem rządziły się wszystkie sejmy Rzeczypospolitej. Często drobna z pozoru okoliczność była źródłem ważnych zmian konstytucyjnych.

W ciągu wrzawy z powodu zaślubin króla z Barbarą Radziwiłówną, posłowie prosili króla o posłuchanie osobne, bez obecności senatu. Kanclerz odtrącał tę przeciwną zwyczajowi nowość, ale król, nie przewidując, co stąd wyniknąć miało, zezwolił na żądanie. Odtąd izba poselska przywłaszczyła sobie znaczenie niesłusznie. Przestając uważać się za część sejmu, zaczęła działać wyłącznie jako władza udzielna, a następnie mierzyć się już z tronem. Na tem pamiętnem posłuchaniu posłowie, nie mogąc przemódz uporu królewskiego, padli przed nim na kolana, co było rzeczą niesłychaną w Polsce. Król zdumiony wstał z krzesła i sięgnął ręką do czapki. Zdarzenie to przywozono później jako tradycję, gdy chciano zniewolić króla, żeby osobiście a nie przez kanclerza odpowiadał posłom; na tej podstawie domagano się również, żeby z głową odkrytą przyjmował wysłance izby poselskiej.

W tymże czasie posłowie zażądali narad z senatem bez obecności króla, co równie, aż nie bez oporu, otrzymali. Tym sposobem powaga senatu upadła, skoro bowiem weszło w zwyczaj wszelkie sprawy ważniejsze w połączonych izbach rozstrzygać, izba poselska, posiadając większość głosów, stała się panią obrad.

Taką koleją w Polsce, jak zresztą we wszystkich krajach wolnych, tworzyła się konstytucya. Zawsze prawie silniejszy korzysta ze sposobności. Posunąwszy się o krok, nabytek swój formułuje, a potem zmienia w prawo.

Dwór Zygmunta Augusta, jeden z najświetniejszych owego czasu, ciekawy przedstawiał widok. Udzielni książęta Prus i Kurlandyi składali monarsze hołd na klęczkach wśród rynku krakowskiego; wojewodowie Multan i Wołoszczyzny bili czołem przed jego majestatem, a szlachta polska ledwie raczyła zdjąć czapkę przed swoim monarchą.

Gdy tak rozluźniały się polityczne, wojskowe i cywilne sprężyny rządu, król nie mógł nic stawić przeciw samowoli prywatnej, jeno tradycyjną dostojność swej władzy, urok swego imienia i moc, czerpaną z religijnych uczuć narodu. Lecz tę ostatnią warownię powagi królewskiej zaczęli rozbijać sektarze (odszczepieńcy, heretycy). Ponieważ każdy magnat uważał się u siebie za pana, każdy szlachcic za naczelnika udzielnej Rzeczypospolitej, nie było władzy zwierzchniczej, któraby mogła zapobiedz napływowi odszczepieństw religijnych, Sektarze, potrzebując koniecznie znaleźć podporę w jakiej potędze świeckiej, odrazu zwrócili oczy na Polskę. Luter, Kalwin, Erazm, Osiander i inni napełnili Polskę swymi zwolennikami, pochlebiali królowi, przypisując mu



swoje dzieła, równając go z Dawidem i Salomonem, mianując wybranym, do przywrócenia prawdy ewangelicznej. Starali się przytem pozyskać sobie osoby bliżej go otaczające, zwłaszcza kobiety. Widząc, że nie lubił trzeciej swej żony, Katarzyny Austriaczki, i że chciał się z nią rozwieść, czemu sprzeciwiał się poseł Papieża, zręcznie z tej okoliczności korzystać umieli.

Zygmunt August, nie wspierany przez senatorów, drażniony przez szlachtę, znajdując w sektarzach pochlebców, zachwiał się w wierze ojczystej i przez całe życie, jak się zdawało, czynił wybór między nią a ponętami obietnicami odszczepieńców. Dwór jego stał się zbiegowskiem księży, porzucających sukienkę, teologów niemieckich, włoskich, francuskich. Sam będąc uczonym i chciwym wiedzy, przepędza długie godziny na dysputach z nimi.

Nowinki odszczepieńcze rozchodziły się po kraju inną jeszcze drogą. Polacy wówczas zwiedzali całą Europę oświeconą, słuchali nauk we wszystkich uniwersytetach zagranicznych. Młodzież bogata a płocha, wiedzioną ciekawością, zapoznawała się z ludźmi, którzy czynili wiele hałasu: odwiedzała Lutra, Kalwina, Erazma Rotterdamskiego, żeby, wróciwszy do kraju, gadać o nich. Pochlebiało to próżności owych wodzów herezyi. Magnaci niemieccy i francuscy, chociaż dawali im opiekę, jednak zawsze patrzyli na nich z góry; przeciwnie panice polscy uważali sobie za zaszczyt znajomość z nimi, świadczyli im przysługi i hojnie ich obdarzali. Nawzajem też głośni heretycy, Lipsiusz, Ovius, Gaulius, wysławiali uprzejmość, gościnność, żądę oświecenia się, wspaniałość Polaków. Cały naród polski wystawiali w pismach swoich jako dziwnie bogaty i uczony. Zdało im się, że wszyscy w Polsce tak byli możni, że mówili obcemi językami, jak ci panowie, których widywali.

Tacy podróżnicy, wróciwszy do kraju, pogardzali swoimi plebanami, dysputowali z biskupami, unosili się nad owymi rzekomo znakomitymi cudzoziemcami, rozpwszechniali ich książki, przez zarozumiałość i samolubstwo bronili fałszywych ich nauk, dowodząc, że są one wzniosłe i piękne. Ponieważ wówczas każdy szlachcic polski robił u siebie co tylko chciał, więc pozakładano mnóstwo drukarni, które pracowały dla sprawy odszczepieństwa. Cudzoziemcy nie mogli zrozumieć, co się wtedy u nas działo... W lichych mieścinach, w zapadłych w błoto chałupach znajdowali prasy drukarskie, widzieli Francuzów, Holendrów lub Niemców, zatrudnionych odbijaniem pism, które ze sprawami i stosunkami polskimi żadnego nie miały związku. Były to rozprawy religijne w duchu odszczepieńczym, albo krzyki przeciwko nadużyciom Kościoła, czego w Polsce nie znano.



Trzeba wiedzieć, że wszystkie sekty miały na widoku jakieś okoliczności miejscowe, właściwe krajom, w których się tworzyły. Niemcy na przykład, oburzali się na świecką władzę swoich biskupów; to znowu miasta niemieckie pragnęły zagarnąć majątki klasztorów. U nas biskupi nie posiadali władzy świeckiej, a panom polskim ani do głowy przychodziło wzbogacać się kosztem duchowieństwa. Słowem całe to odszczepieństwo, dotyczące rzeczy zupełnie obojętnych dla Polski, było niczem więcej, jeno śmiesznem naśladowaniem cudzych wzorów, ale krzewiło się u nas łatwo, bo u nas każdy mógł myśleć i mówić, jak mu się podobało.

Ten okres piśmiennictwa polskiego bardzo jest wszakże ważny dla dziejów powszechnych Kościoła. Wiele sekt bowiem wylęgło się i u nas, wiele innych u nas się wyhodowało. Unitaryusze angielscy do dziś dnia używają książek, wydrukowanych w Polsce; ich zasady uchwalono w biednem miasteczku polskiem.

(D. c. n.)



# BAZYLISA z CZEŚNIK

opowiadanie z lat dawnych.

Mrok szary zapadał po nad sklepieniem wspaniałej świątyni w Chełmie. Przed ołtarzem jaśniejącym od ofiar pobożnych, w którym wierni czcili Bogarodnicę w starożytnym wizerunku, klęczała młoda niewiasta, wybladła cierpieniem i łkając tuliła do piersi uśpioną dziecinę.

Opodal nieco, wsparta o filar wieśniaczka spozierała na nią, ocierając rękawem łzy spływające po licu.

Cicho i pusto było dokoła, a kroki dziada, przechadzającego się zwolna z pękiem kluczy, przerywały jedynie uroczyste milczenie.

Po chwili rozżalona matka powstała, snać opamiętawszy się trochę, a druga kobieta przystąpiła do niej, mówiąc szeptem:

— Bóg z wami, czestna pani! Ale czas wielki rozejść się nam, bo radabym przed północą jeszcze stanąć w domu z niebożątkiem waszem...

— Prawdę wyrzekłaś, Bazyliso, rozstać się trzeba... Gdy tu wchodziłam, zdało mi się, że zabraknie mi sił po temu. Teraz Rodzicielka Boża, matka, co stała pod krzyżem umierającego syna, natchnęła mnie częstką męstwa swego... W Jej obliczu spełnię gorzką ofiarę... Przyrzeknij mi tylko raz jeszcze, że czuwać będziesz wiernie nad tem niemowlęciem, a w razie mej śmierci, nie wyjawisz nikomu nazwiska jego, aż dopóki nie skończy lat szesnastu... Myślę, że wtedy sam czas już zatrze wszelką niechęć, coby w pierw zatruc mogła goryczą młode lata mej dziewczeczki...

Wieśniaczka słuchała bacznie słów pani, a gdy ta mówić skończyła, uklękła i wyciągając ręce do wizerunku Matki Bożej, rzekła z przejęciem wielkiem:

— Tak mi dopomóż, Boże, w Trójcy jedyny i Przenajświętsza Panno Maryo!

— Amen! — dorzuciła cicho młoda matka i wyraźnie gwałt sobie czyniąc, oddała dziecię.

Bazyliśa, pochyliwszy się wtedy, chciała ucałować jej kolana, lecz ona, odsunawszy ją lekko, objęła w rzewnym uścisku, mówiąc zaledwie dosłyszczanym od wzruszenia głosem:

— O, siostró moja w Chrystusie, niech Bóg zapłaci poświęcenie twoje!

Odeszła potem żywo na stronę, a wieśniaczka, odgadując przeczuciem serca boleść macierzyńską w owej chwili, oddaliła się spiesznym krokiem.

\* \* \*

Skoro znikła w oddali, młoda pani upadła krzyżem na kamienną posadzkę i tak już pozostała zatopiona w rozmyślaniu, czy też w modlitwie, aż dopóki dziań kościelny nie zawezwał jej, aby wyszła, gdyż drzwi na noc zamknąć musi. Zeszedłszy z góry, skierowała swe kroki do zajezdnej gospody w miasteczku.

Żyd furman ofuknął ją tam zaraz na wstępie, że się spóźniła, a jeszcze mil kilka ujechać muszą, aby dojechać przed świtem do miejsca, w którym zawsze zwykł popasać. Biedna kobieta pogrążona w ciężkim smutku, nie słyszała prawie tych wymówek.

Zebrawszy wkrótce podróżny tłumoczek, siadła do wozu, pokrytego skórą, ładownego różnemi gralami, które usłużny woźnica zabierał dla współwyznawców.

Koła zaturkotały niezadługo po równej drodze, a światła błyszczące w chełmskim klasztorze zniknęły z przed oczu osieroconej matki; pożegnała je żalosnem westchnieniem, jak gdyby ciemność rozpostarta obecnie do koła, miała być wyobrażeniem posępnej i żałobnej nocy jej dalszego żywota.

\* \* \*

Tymczasem wózek, na którym siedziała Bazyliśa z dziećciem, późno w noc zbliżał się do wsi, gdzie ocieniony rozłożystych lip zieleń, biał się na wzgórzu murowany dworzec; ale nie tam skierował powożący wieśniak, jeno minawszy wioskę, stanął przed chatą na uboczu, pod lasem.

Porzuciwszy lejce, zeskoczył szybko i wziął z rąk żony uśpioną dziewczynkę, aby ją do izby zanieść. Bazylisa pośpieszyła za mężem, a wszedłszy, padła na kolana przed wizerunkiem Matki Boskiej Chełmskiej, zawieszonym na ścianie i wyrzekła z gorącą prośbą:

— O, cudowna Bogarodzico! dopomóż mi spełnić przyrzeczenie uczynione biednej matce i czuwaj nad tą dzieciną po wszystkie dni jej życia!

Nazajutrz w dzień mówiono w Cześnikach, że Bazylisie, żonie Jakóba, leśnika, podrzucono w nocy śliczne dziecko. Wszystkie kobiety z wioski zbiegły się, aby je oglądać. Wieść ta doszła wkrótce do dworu dziedzica, pana Mikołaja Głogowskiego, kasztelana radomskiego. Wnet za drugimi przyszła stateczna już w latach panna respektowa z fraucymeru pani, dowiedzieć się, jak to było?

— Mąż mój, usłyszawszy w nocy kwilenie na dworze, wyrżał i powrócił z dziećciem — mówiła Bazylisa.

— Ale czy nie zoczył nikogo? toć księżyc świecił tak jasno?...

— Możecie się z nim rozmówić sami, ot, młóci właśnie w stodole na podwórku.

Panna Małgorzata nie kazała sobie tych słów powtarzać, w jednej chwili była już u Jakóba i wybadywać go zaczęła.

— Czy być może, abyście nawet szelestu nie dosłyszeli? — mówiła z nieukontentowaniem, skoro wieśniak nie zaspokoił jej ciekawości; u nieboszczki ciotki mojej trafiło się coś podobnego, podrzucono dziecko i długo nikt odgadnąć nie mógł, skądby się wzięło, aż wreszcie parobczak, który był na stróżach, przypomniał sobie, że widział wielką sowę, niosącą coś w dziobie i jak tylko krążyć poczęła po nad domem, zaraz zakwiliło u progów...

— Wszystko być może — odparł, tłumiąc chęć do śmiechu Jakób — gdyby waszmość panna zająć chciała o północy do zwalisk starego zamku w lesie, dopieroby zobaczyła, jakie tam lud sowi wiedzie rozhowory, jakie wyprawia harce!...

— Co też wam w głowie, mój Jakóbie? A toćbym umarła chyba ze strachu wielkiego!

— Panno Małgorzato! panno Małgorzato! — rozległo się w dali wołanie folwarcznej dziewczki, — starościna potrzebuje czegoś z apteczki!

— A to skaranie Boże, że i chwili spokojnie pogawędzić nie można! Idę, idę zaraz, zajrzę tylko jeszcze do Jakóbowej.

— Muszę obaczyć przecież to niemowlę! — mówiła, wchodząc powtórnie do izby. — Patrzcie, patrzcie, śliczne doprawdy, ale to paniątko jakieś nie żartem! bo krzyżyk złoty ma na piersiach, a na nim wryty napis jakiś... Dajcie tu pod światło, niech przeczytam... *Zofia*... a więc to imię małej?





Wszyscy wyciągali błagalne dłonie do Gwiazdy Zarannej i wnet każdemu  
spływała pociecha.

(Do opowieści „Bazylisa z Cześnik“).



— Tak się zdaje.

— Musi już mieć przynajmniej rok przeszło, a jakie cudne niebieskie oczęta!...

— Starościna czeka na klucze! — wtrąciła znów nieśmiało służebna dziewczyna.

— No, idę, już idę, tylko nie nudź więcej!...

— Założyłbym się — rzekł Jakób, wchodząc po jej odejściu do chaty — że przyślą po ciebie ze dworu, aby się wypytować.

— Wątpię bardzo, młoda pani ściągać mię nie lubi, obawiając nieukontentowania starościny.

— Oho! starościna zapomniała już może czasów, w których wpadłaś u niej w niełaskę.

— Ona zapomniała? .. Nie znasz jej chyba! — przerwała Bazyliśa. — Prawda, że nie widziałeś z bliska tego straszego gniewania... Panie Jezu Chryste! dziś jeszcze drzę cała, gdy na nie wspomnę... Ot, nie mówmy już o tem, pogadajmy raczej o doli tego niebożątka, które nam Bóg zesłał w miejsce własnych dzieci.

— Niema się jeszcze co o nie troskać, skoro ma w życiu oboje rodziców...

— Ale Bóg sam wie, jak ich długo stanie! Biedna pani bardzo była strapiona chorobą męża.

— Dałby Bóg, abyśmy kiedyś odwdzięczyli się dziecięciu, za to, co uczyniła dla nas. Toć gdyby nie zapomoga, którą wyprosiła onego u nieboszczyka ojca, nie mógłbym cię poślubić.

Placz dziecka przerwał rozmowę obojga małżonków. Bazyliśa wzięła je na ręce i uspokoiła wkrótce.

— Droga dusza! — rzekła — patrz, jak się uśmiecha, odgaduje chyba, że jest u najlepszych przyjaciół.

— Ale co za podobieństwo do matki... strach doprawdy, aby nie odgadli...

— Bądź spokojny, starościna nie prędko zobaczy Zochnę, a zresztą ona najwięcej ojca swego przypomina. Zapomniałeś już, widzę, że nie powstał nigdy w Zalesiu.

— Ha! prawda, tyle się człek nakłopotał wtedy, że mu się czasem w głowie miesza.

\*

\*

\*

Domniemanie Jakóba o przywołaniu Bazyliśy do dworu spełniło się niezadługo; skoro tylko panna Małgorzata rozpowiadać poczęła pani o cudnem dzieciątku, zaraz kasztelanowa widzieć je zapragnęła.



Siedziały właśnie obie, zajęte dobieraniem jedwabiów do rozpoczętej na krosnach roboty, gdy Jakóbową weszła do świetlicy z niskim pokłonem.

— Sama przyszłaś, Wasiu? — zapytała pani Głogowska, — sama? A ja przecież zobaczyć chciałam...

— Czestna pani — przerwała żywo wieśniaczka — wiecie dobrze, jak nie lubi mię starościna. Ilekroć tu przychodzę, przekradać się muszę, aby jej nie spotkać; z dziecięciem na ręku przemknąć się trudno, a nużby się niespodzianie dowiedziała o naszej przygodzie, to zaraz byłoby wybadywania a przypuszczenia bez końca... Później, gdy dziecię podrośnie, to co innego, teraz zaś najlepiejby było, abyście sami wstąpili do naszej chaty, idąc na przechadzkę.

— Powiedz mi, co począć zamyślasz z tem niemowlęciem?

— Ha, cóżby innego, jak chować je w miłości a bojaźni Bożej?

— Nie mogłabym ci w czem dopomódz?

— Bóg zapłać za dobre serce wasze, miłościwa pani, później może... jeżeli los jaki obmyśleć wypadnie biedactwu temu...

— Nie powinniście się o nie troszczyć więcej, aniżeli własna matka, która je porzuciła — odezwała się znów panna Małgorzata.

— A kto wie, co ją zmusiło do tego — rzekła, wzdychając kasztelanowa. Wiesz co, Wasiu, jak będzie najlepiej? Póki dziecię nie podrośnie, niech u ciebie pozostaje, później zaś ja je wezmę do siebie.

Wieśniaczka smutnie wstrząsnęła głową.

— Bóg sam najlepiej opatrzy dolę sierocą, nam nie kłopotać się tem przedwcześnie! — rzekła.

— Bazyliśa niechętnie przyjmuje ofiarę waszą — mówiła panna Małgorzata, wychodząc z komnaty — myśli pewno, że podrzutek jej, to zaklęta przez czarownika królewna, która z czasem odzyska swe państwo.

— Małgosia dziś przemówiła się ze starościna, — rzekła z uśmiechem kasztelanowa — to i każdemu swój zły humor uczuć daje.

— Darujcie mi — ozwała się Bazyliśa — ale nie z ciekawości próżnej, a jeno z przychylności dla was wiedziećbym rada, czy starościna mniej teraz przykra niż dawniej?

— Nie zmieniła się w niczem od czasu zamążpójścia mojego, przeciwnie, rzeczy można, że ostrzejsza jeszcze...

— Gdyby miała ludzkie serce w piersiach, nie byłyby sobie i drugim przyczyną do ciężkiej troski.

— Cicho na Boga! cicho, Wasiu! — przerwała pani Głogowska — zdaje mi się, że kasztelan nadchodzi, a za niczym nie chciała, aby dośłyszał naszą rozmowę...



Bazyliśa uśmiecneła się gorzko, lecz nie odpowiedziała, bo znała łękliwość kasztelanowej, która drżała przed mężem i matką jego, a w istocie słyhać było zbliżające się do drzwi męskie stąpanie.

Ucałowawszy więc rękę młodej pani, żwawo pochwyciła za klamkę i zniknęła w ciemnym korytarzu, w chwili, gdy kasztelan nadchodził z przeciwnej strony.

\* \* \*

Powróciwszy do domu, zastała Zosię na ręku Jakóba, który jej z oczu i na chwilę nie spuścił. Odtąd dzielili oboje pomiędzy siebie pilną a baczną pieczę nad dziećciem. Pani Głogowska odwiedziła je wkrótce, a raz zobaczywszy, tak polubiła, że nieraz to łakocią, to wzo-rzystą udarowała sukienką. Skoro dziewczynka podrosła w lata, zapra-gnęła, aby ją Bazyliśa posyłała do dworu.

Jakób zawsze wtedy odprowadzał Zosię.

Zdarzyło się jedną razą, że spotkali starościne, która rzadko kiedy opuszczała swą komnatę.

Stateczna niewiasta, o dumnej i wzgardliwej postawie, zatrzymała się chwilę, mierząc surowym wzrokiem drżące dziewczę — potem zaś poszła spokojnie dalej.

— Chwała Bogu!—szepnął Jakób, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z piersi,—nie dopatrzyła widać podobieństwa.

Później, bywało, że Zosia, igrając w dworskim sadzie lub w kom-nacie pani, schodziła się również z matką kasztelana, lecz ta nigdy jej łaskawem nie udarowała słówkiem, tak, że sierota, którą lubili wszyscy we dworze (bo nawet i kasztelan nieraz, przechodząc, pogładził ją po ja-snych włosach), zapytywała czemu pani starościna taka smutna i ponu-ra? Ale Bazyliśa i Jakób zawsze jej odpowiadali tylko, że Bóg nieje-dną nawiedził ją troską, a zresztą nikt we wsi, ani we dworze nie wie-dział o jej młodszych latach, bo państwo Głogowscy nie zbyt dawno zamieszkali w Cześnikach, a ze starej siedziby prócz leśnika i jego żo-ny, przybyła z niemi jedynie panna Małgorzata, która również wspomi-nać nie chciała o przeszłości niemiłej sobie niewiasty.

Powiałała nawet zawsze, że jeno afekt gorący dla młodej pani, którą wypiastowała na rękach, trzyma ją w miejscu, gdzie przebywa starościna.

Podczas odwiedzin swych we dworze, nauczyła się Zosia od kaszte-lanowej czytać na grubej księdze, od panny Małgorzaty zaś różnych cudnych robótek, do których tak wielką okazała zdolność, że już tem samem zjednała zupełnie serce swej mistrzyni.

Wychowanie więc dziewczynki, jak na owe czasy, zupełnie nie było zaniedbanem, tembardziej, że niem kierowała Bazylisa, której wrodzony bystry rozum i niepospolity hart ducha, dawał pierwszeństwo nad wiele kobiet postawionych na wyższym szczeblu społeczeństwa.

Właśnie gdy Zosia wyszła z pierwszego dzieciństwa, pani Głogowska straciła oboje rodziców, a że była daleką krewną męża swego, więc opieka pozostałego jej brata przypadła z prawa na kasztelana.

Bohdanek, pilne i rozumne czternastoletnie chłopię, zamieszkał niebawem w domu siostry i pomiędzy nim a Zosią zawiązała się wkrótce serdeczna przyjaźń.

Bazylisa widocznie rada była temu i teraz jeszcze chętniej niż kiedykolwiek pozwalała swej wychowance uczęszczać do dworu. Wypadło nawet pewnego razu, że zostawiła ją całkiem na opiece kasztelanowej, wybrawszy się z mężem do dawnej włości państwa Głogowskich, jak powiadała, dla odwiedzenia krewnych.

Nieobecność Jakóba i Jakóbowej przeciągnęła się dłużej, niż sądzono, panna Małgorzata szeptała nawet na ucho pani, że dalej gdzieś pojechać musieli, bo cóżby tak długo robić mogli w Zalesiu? Zosia, mimo że jej na niczem nie zbywało, że Bohdanek uprzedzał wszystkie jej życzenia, tęsknić poczyniała.

W ponury wieczór jesienny zjawiała się przecieź z podróży swej Bazylisa, lecz tak była dziwnie zmieniona i smutna, że na jej widok dziewczeczka mimo woli zalała się łzami.

— Co ci się przytrafiło, Wasiu? — pytała z najtkliwszą pieśczołą.

— Nie wiek twój po temu, abym ci rozpowiadała te rzeczy, mam zwyczajnie strapienie, ale to z czasem złagodzić się musi...

Daremnie dziewczynka prosiła i przekładała, nic się więcej dowiedzieć nie mogła, a co gorzej, pozostać musiała jeszcze we dworze, bo Bazylisa mówiła, że ma zajęcie w chacie, dla którego chce być samą przez dni kilka.

Kasztelanowa z wrodzoną sobie dobrocią nie chciała badać czynności wieśniaczki, ani też jej smutku przyczyny, ale panna Małgorzata o mało nie uszła z ciekawości.

— Nic to innego — mówiła tajemniczo — tylko stary Michał, bezdzietny stryj Jakóba, umrzeć musiał, a był to skąpiec nielada, więc talary bite, które nagromadził, zakopał pewno tak głęboko, że ich znaleźć nie mogli... Dojdę tego wkrótce!...

Rzeczywiście, aby nie tracić czasu, zaraz wypytywać poszła Jakóba, w nadziei, że nie będzie tak skrytym jak żona, ale dowiedziała się tylko, że Michał żyje i zdrowy zupełnie; zaczęła więc tworzyć coraz nowe przypuszczenia, jedno mniej podobne do prawdy od drugich, nie mogąc dojść do ładu z myślami swemi.

Bazyliśa tymczasem przebywszy kilka dni w samotności, postanowiła pójść po Zosię i sprowadzić ją napowrót do chaty.

— Nie wiem, czemu nie uczyniłaś tego odrazu — mówił Jakób, patrząc na nią — byłoby nam lżej przeboleć strapienie nasze...

— O, nie, wołałam nie widzieć biednej sieroty, bo łzybym ciągle przy niej łkać musiała, a tak przynajmniej mogłam wyplakać się do woli. Rada też jestem, że pobyła dłużej z Bohdanem, dziś jeszcze więcej niż kiedykolwiek powtarzam, że bądź co bądź dopiąć swego muszę...

Podczas gdy Bazyliśa spieszyła po swą wychowaną, panna Małgorzata w dowód wielkiego zaufania dla dziewczęcia, poleciła mu wyszukać czegoś w skarbcu, od którego klucza dotychczas nie powierzała nikomu.

Zosia była pilną w spełnieniu danych sobie poleceń i roztropną niezmiernie, natychmiast więc wynalazła żądany przedmiot i już wydalać się miała, gdy nagle wzrok jej padł na opylony wizerunek niewieści, stojący na uboczu.

Ciekawość, z której sobie nie umiała zdać sprawy, powiodła ją ku niemu, a gdy raz spojrzała z bliska w to cudne oblicze, już wzroku od niego oderwać nie mogła.

Stała tak długo w głębokiej zadumie, niby niewidzialną siłą przykuta, snując w myśli dzieje tej pięknej i bladej pani, aż wreszcie oknęła się z marzeń swoich.

— „Kto ona?“ — zapytała głośno.

Nikogo nie było w skarbcu, więc odpowiedzi odebrać nie mogła.

Wnet przyszło jej do głowy, aby pobiedz z obrazem do panny Małgorzaty i zapytać jej, kogoby przedstawiał?

Zamknawszy skarbiec, przeszła szybko szpaler wiodący do dworu, i dopiero w chwili, gdy próg przestąpić miała, ogarnęła ją trwoga, czy panna Małgorzata gniewać się nie będzie?

Chciała już powracać, gdy nagle drzwi się rozwarły, i stanęła przed nią starościna.

Na widok obrazu, będącego w ręku dziewczeczki, lica matrony zapłonęły gniewem; usta konwulsyjnie zadrgały i wybiegły z nich obelżliwe wyrazy.

— Jak śmiesz, niegodziwa dziewczyno, wdzierać się w tajemnice naszego domu? Skąd wzięłaś ten nieszczęsny wizerunek, który już od dawna istnieć nie powinien?

Zosia jęknęła boleśnie, upuściła z rąk obraz, który się potoczył do nóg starościny i zapłakała, zakrywając twarz rękami.

— Precz mi z oczu, nędzny podrzutku! Precz z tym obrazem! — zawołała groźnie pani Głogowska, cofając się blada i nieprzytomna prawie.



Jakby na obronę niewinnie pokrzywdzonej sieroty, w tejże chwili zjawiała się Bazylisa, a tuż za nią z przeciwnej strony wybiegł Bohdan z kasztelanową.

— Hamujcie porywczosć waszą, czestna pani!—zawołała z oburzeniem szlachetna wieśniaczka,—bo na Boga! ród Zochny nie ustępuje w niczem waszemu...

— A więc wiesz, kto ona? Odgadłam odrazu, że oszukiwałaś nas tylko kłamana powieścią, nie pokazuj mi się na oczy, jeżeli chcesz, aby cię minęła kara za obłudę twoją!...

— Nie lękam się kary, spełniając święty obowiązek względem tego dziecięcia. Nie macie nad niem litości, zarówno jak nad nieszczęśliwą, której wizerunek u nóg waszych tarza się w prochu! Dziś usta moje krępuje przysięga, ale kiedyś poznacie całą prawdę i pożałujecie gorzko słów waszych!

— Śmiesz mi grozić, poddanko zuchwała! O, tego już zanadto!... wyszeptła starościna, dostając mdłości z gniewu.

Synowa wraz z Bohdanem pośpieszyła na jej ratunek i zanieśli omdłą do komnaty, podczas gdy Bazylisa uprowadzała tonącą we łzach Zosię.

Kasztelanowa z najwyższą obawą oczekiwała powrotu do zmysłów świekry, sądząc, że jednocześnie na straszną zanieś się burzę, ale z wielkiem jej podziwieniem, starościna nawet słowa nie wyrzekła więcej o tem co zaszło i oddaliła się spokojnie do swej komnaty.

Odtąd tylko więcej niż kiedykolwiek przesiadywała u siebie i rzadko bardzo widywano ją w innych stronach domu.

Zosia też nie powstała już więcej u młodej pani, która sama ścierać jej nie śmiała z obawy matki. Kiedy niekiedy tylko panna Małgorzata przybiegała do chatki leśnika i udzielała wiadomości o tem, co zaszło we dworze.

Dowiedziano się od niej, że Bohdan wysłany został do krewnego wojewody, aby się tam ćwiczył w potrzebnych mu umiejętnościach.

\* \* \*

Po wypadku ze starościna, Bazylisa musiała opowiedzieć Zosi, że przysięga, co do zachowania tajemnicy jej rodu, trwa tylko dopóki nie skończy lat szesnastu.

Łatwo odgadnąć, że sierota czekała niecierpliwie tej chwili.

Rokrocznie w dzień urodzin, Bazylisa woziła ją do Chełma, a była to najmiłsza podróż dla dziewczynki, w której serce pobożne wieśniaczka wpoila głęboką cześć i miłość dla Matki Boskiej.



W piętnastą rocznicę Zosi, przy wejściu do świątyni Bazyłisa rzekła głosem wzruszonym:

— Od dziś za rok, Zosieńko, poznasz stan i nazwisko rodziców twoich. Módl się, aby dzień ten był zarazem dniem pomyślności, jakiej pragnę dla ciebie.



Bazyłisa, wykradająca się z obozu tatarskiego.

Serce młodej dziewczyny zakolało silnie wboec przyszłości nieznanej. Przyklęknawszy kornie przy wejściu, mimowolnie później uległa roz-targnieniu i zamiast się modlić uważnie jak za zwyczaj, spoglądała tu

i owdzie po kościele napełnionym ludem. Nagle wzrok jej padł na młodzieńca, smukłej i wdzięcznej urody, stojącego w oddali.

Zdało jej się, że poznaje rysy jego i coraz trudniej mogła zebrać myśli do modlitwy.

Gdy wyszły z kościoła z Bazylią, młodzieniec ów pośpieszył za niemi.

— Cóż to, nie poznajecie mię, widzę? — mówił, zatrzymując je w pośrodku drogi. Odwróciły się wtedy i radośnie pozdrowiły Bohdana.

\* \* \*

Przybywszy do Cześnik, aby czas jakiś spędzić w domu siostry, Bohdan znalazł, że młoda towarzyszka jego dzieciństwa wyrosła na najpoważniejszą dziewczynkę, jaką napotkał kiedykolwiek w życiu. Łatwo odgadnąć, że pokochał ją wkrótce, a Zosia odpłaciła mu wzajemnością.

Bazyliśa nie sprzeciwiała się uczuciom obojga młodych, przeciwnie ośmielała ich zapewnieniem, że wkrótce usunie wszelkie przeszkody.

Nie dziw, że uwierzyli łatwo temu, czego najgoręcej pragnęli, że miłość ich z każdym dniem wzrastała. Bohdan niejednokrotnie odwiedzał Cześniki, a zawsze uciekał ze dworu pod pozorem polowania i przebywał długie godziny w chatce leśnika. Przed końcem roku wyjechał znów, aby powrócić już na sam dzień urodzin Zosi i wtedy wraz z nazwiskiem ulubionej, wyjawić kasztelanowej i siostrze miłość swoją.

Częstokroć zdarza się, że im bliżej jesteśmy celu zabiegów naszych, tem większy niepokój ogarnia duszę, trwożną tęsknem wyczekiwaniem upragnionej chwili.

Pożegnanie było tym razem rzewniejsze niż kiedykolwiek; wkrótce jakby na usprawiedliwienie smutnego przeczucia, które ogarnęło nietylko Zosię, lecz i wierną jej Bazyliśę i poczciwego Jakóba przy rozstaniu z młodzieńcem, wybuchł na pograniczu pożar wojny z pogaństwem i zaświecił grobową łuną po nad cichemi wiejskimi zagrody.

W jednej chwili znikł spokój tysiąca rodzin, zagrożonych utratą mienia i najdroższych sobie istot. Zosia modliła się i płakała, gdyż Bohdan wraz z drugimi poszedł na Tatary, a była to pierwsza jego wojaczka.

Kasztelan wysłał matkę z dziećmi do Lwowa, a sam z żoną czekał jeno zbliżenia się nieprzyjaciela, przygotowywawszy sobie na ten cel kryjówkę w borze.

Pewnego wieczora krwawa luna zapalonej sąsiedniej wioski dała znać o zbliżającej się czerni pogańskiej. Ruszyli się wszyscy w Cześnikach do ucieczki, i Jakób uprowadził żonę i Zosię w znajome sobie niedostępne knieje. Po trzech dniach dopiero, gdy już przeszła groźna burza, biedni mieszkańcy wyszli ze swych kryjówek.

Brakło pomiędzy nimi niejednego, co w drodze spotkał się z nieprzyjacielem.

Kasztelanowa i panna Małgorzata, nie dostrzegłszy nigdzie Bazyliśy, Jakóba i Zosi, czyniły na wszystkie strony poszukiwania i dowiedziały się wreszcie z wielkim smutkiem, że Zosia sama tylko ocalała przypadkiem; uderzywszy bowiem głową o pień drzewa, upadła omdlała w krzakach, właśnie wtedy, gdy napadnięci zostali. Po za zasłoną liści nie dostrzegł dziewczeczki Tatarzyn dziki, który pojmał w jasyr Bazyliśę, przeszływszy wpierw strzałą pierś Jakóba, walczącego w jej obronie.

Jeden z kmieci, ukryty w pobliżu, widział wszystko, a gdy oddalili się najejdzcy, zabrał Zosię do swej chaty.

Pani Głogowska sprowadziła ją natychmiast do siebie.

Biedna dziewczyna leżała w ciężkiej niemocy, a jeżeli chwilami odzyskiwała przytomność, to wnet ją traciła, wspomniawszy na żalność i osierocenie swoje.

Pewnego dnia, mimo troskliwych starań, jakimi ją otaczano, zdawała się już być bliską śmierci, przyszło tedy na myśl kasztelanowej ofiarować ją do Chełma, pobożnym naddziadów obyczajem.

Za łaską Bożą od owej chwili przesiliła się choroba, i wkrótce nawet Zosia opowiedzieć była w stanie sen, czy widzenie cudowne, które dodało jej otuchy i wpłynęło zapewne na uzdrowienie.

Skoro tylko pani Głogowska ślub swój uczyniwszy, zawiesiła nad jej łóżem Chełmski Wizerunek, przymknęła znużone długą bezsennością powieki; niezadługo potem ujrzała wśród obłoków w przedziwnym blasku i chwale, unoszącą się po nad ziemią Królowę Niebios.

U stóp jej klęczał lud mnogi, żebrząc zlitowania; a był w tym tłumie i panujący podówczas miłościwie najjaśniejszy Jan Kazimierz i kmiecie, trzymający w ręku obraz Bogarodzicy, czczonej w chełmskim kościele i szlachta i towarzysze pancerni z wizerunkiem Maryi na chorągwi swojej.

Wszyscy wyciągali błagalne dłonie do *Gwiazdy Zarannej* i wnet każdemu spływała pociecha. Widząc to Zosia, powstydzila się swej rozpacz i wraz z drugimi westchnęła do pocieszycielki strapionych, a błoga nadzieja wstąpiła również w jej serce.



Wkrótce potem, skoro pokój zawitał dokoła, starościna odesłała wnuki ze Lwowa, donosząc, że sama osiada tam na resztę życia w klasztorze Dominikanek, co ucieszyło niezmiernie pannę Małgorzatę, a może i kasztelanową, lubo się do tego przyznać nie chciała.

Bohdan też powrócił szczęśliwie ze swej wyprawy, a ośmielony nieobecnością matki kasztelana i tem wszystkiem co zaszło, wyznał siostrze miłość swoją.

Pani Głogowska, zawsze nieśmiała i trwożliwa, przełękała się bardzo tego wyznania, bo znając męża, pewną była, że nie zezwoli nigdy na związek krewnego swego z nieznaną dziewczyną.

Rozesłano na wszystkie strony gońców dla zaczerpnięcia wieści o Bazylisie, sądząc, że wśród drogi może ujść zdołała. Bohdan niezmordowany był w poszukiwaniach, a Zosia dodawała mu otuchy, bo od czasu, jak powstała z choroby, krzepiło ją widzenie jaśniejszej przyszłości mimo ciężkiego strapienia obecnej chwili. Gdy jednakże rok mijał w próżnem oczekiwaniu, a nie miała znikąd wieści o swojej opiekunce, skrycie trapić się znów poczęła.

Często kasztelanowa napotykała ją we łzach zatopioną.

— Trudno mi bardzo żyć dalej z myślą, że nie ujrzę już więcej drogiego oblicza Wasi mojej! — odpowiadała, skoro chciano ją pocieszyć.

I w istocie niepokój o los zacnej wieśniaczki dręczył ją więcej może, niż niepewność własnej przyszłości.

Bohdan również posmutniał, a nie przewidując lepszego końca tej sprawy, wyjawiał kasztelanowi miłość swoją. Gniew pana Głogowskiego nie znał granic. Nietylko zaprzysiągł, że nie zezwoli nigdy na połączenie krewnego ze zwyczajną dziewczką, lecz nadto jeszcze, mimo próśb żony, wydalil natychmiast Zosię ze dworu.

Biedna sierota powrócić musiała do opustoszonej chaty, gdzie upłynęło szczęśliwe jej dzieciństwo i byłaby upadła pod ciężarem strapienia, gdyby pocziwa Małgorzata, oburzona postępkiem pana, wraz z nią nie zamieszkała.

Bohdan, śmiertelnie zagniewany na szwagra, opuścił również dom jego i poprzysiągł nie powracać tam wpierw, aż odzyska swe dziedzictwo i będzie mógł zaślubić ulubioną.

\*

\*

\*

Miesiąc cały zbiegł od czasu tych wypadków, gdy pewnego wieczora zakołatano do chatki pod lasem, a skoro panna Małgorzata, umie-



rając prawie ze strachu, uchyliła drzwi ostrożnie, kobieta w szarym stroju pielgrzymim stanęła na progu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała przerażona Małgosia, sądząc, że ma do czynienia z widziadłem.

— I ja Go chwałę! — odparła nieznajoma. — Na dźwięk tego głosu Zosia porwała się z siedzenia, wybiegła potem nieprzytomna prawie z izby i padła ze łkaniem na piersi pielgrzymki, w której poznała Bazylisę.

Nazajutrz, gdy Bohdan, przybyły w odwiedzinach do chaty, siedział obok Zosi, a panna Małgorzata patrzała na nich wesoło, Bazylisa wszczęła opowiadanie swoje tej treści:

— Wiecie już — mówiła, ocierając zapłakane oczy — jak biedny Jakób mój zginął w walce z pohańcami, którym wpadliśmy w ręce. Oderwano mię od martwego ciała mojego męża i w jasyr zabrano.

Oj, ciężko tylko opuszczać rodzinną ziemię z sercem zakrwawionem od srogiego bólu, a iść w kraj daleki pomiędzy pogany, które się nie użalą niedoli. Ale co Bóg przeznaczy, człowiek wytrzymać musi, choćby mu się zdało nad siły. Niejeden z tych, co szli wraz ze mną, przypadał do ziemi z wielkim lamentem i płaczem, wzywając rychłej śmierci, pewien, że nie wytrwa w męce. Ale gdzie tam, wszyscy prawie doszli do kresu wędrówek! Trzeba wam wiedzieć, że szpiegi tatarskie co nieźle umieją polską mowę, straszili, że skoro gnani jak zwierz dziki staniemy na miejscu, to zapędzą nas jeszcze dalej i sprzedadzą Turkom. A pokazało się, że prawdę mówili.

Co do mnie, tak srodze bolałam nad śmiercią Jakóba i rozłączeniem się z Zochną, w chwili, gdy jej szczęście zabezpieczyć miałam, że nie czułam już innej zgryzoty.

I cóż na to powiecie? Nie troszczyłam się o dolę moją, a trafiłam lepiej niż drudzy. Gdy już stanęliśmy w siedzibach tatarskich, wybierano więźniów, których miano ślać do tureckiej ziemi i nakładano na nich ceny.

Skoro dowiedziano się, że służyłam przez większą część życia w pańskim dworze, odstawiono mię na bok, jako towar szacowniejszy, a rychło potem, powiódłszy do Turcyi, sprzedano staremu baszy do zarządu nad haremem.

Niejeden wtedy zazdrościł losu mego i doprawdy, gdyby nie żalść i tęsknota za krajem, byłoby mi tam i nie najgorzej...

Czas wolny od pracy trawiłam na modlitwie.

Wszystkie kobiety okazywały mi przychylność, a gdy niektóre wybrały się za panem, co prowadził wojska na Wołoszczyznę i mnie zabrały wraz z taborem podróжным.

Przebywając stale w jednym miejscu przemknęła mi niekiedy myśl ucieczki, gdy zaś wyruszyliśmy w pole, ogarnęła całe moje jestestwo.

Modliłam się zawsze gorąco do do Matki Zbawiciela naszego, teraz zaś oddałam się cała w Jej opiekę, a wspomniawszy na łaski, które wyjednała wiernym w Częstochowie na Jasnej-Górze i w Chełmie, ślubowałam zawiesić w tamecznej świątyni srebrne serce, zakupione uzbieranym groszem, jeżeli powrócę do kraju, gdzie mogła Jakóba porasta zielenią, gdzie Zosieńka czeka na mnie z utęsknieniem...

W dzień trudno było pomyśleć o ucieczce, bo wszędzie baczne rozstawiono strażę, lecz pozostawała noc dla zmylenia ich czujności.

Pomnąc, że Bóg dopomaga jedynie ludziom, którzy poleciwszy Mu skutek swych zabiegów, nie szczędzą pracy, aby te spełnione zostały, przez dni kilkanaście oznajmiałam się z położeniem obozu, żeby potem i wśród ciemności trafić na bezpieczne przejście. Pewnej nocy wybrałam się wreszcie w podróż. Za przyczyną mej Orędowniczki w niebie przeszłam spokojnie pomiędzy uśpionem żołnierstwem. Zdarzyło się czasem, że jaki taki nawpół przebudzony pytał: kto idzie? Tamowałam wtedy dech w piersi, przystając póki go znów sen nie zmorzył. Odzianą byłam białym rańtuchem, nie jeden może wziął mię za widmo, bo odwracał z przestachem senne oblicze.

„Wysłałam tedy szczęśliwie z obozu, ależ to był dopiero początek przeprawy, bo nie wiedziałam, gdzieby się udać dalej. Na los szczęścia zasłałam w bór wielki. Myślałam, że tam skonać już przyjdzie od głodu lub zębów dzikiego zwierza, gdy oto istnym cudem Bożym zjawili się kramarze wędrowni; ci zawiedli mię z sobą do wioski, gdzie mnie znów litościwe dusze opatrzyły pożywieniem i wskazały drogę do kraju.

Odtąd cała podróż moja odbywała się w ten sposób; zawsze znajdowałam pomoc i opiekę, aż wreszcie wstąpiłam na rodzinną ziemię, którą ucałowawszy, zrosiłam rzewnymi łzami.

Nie pozostaje mi teraz, jak zabezpieczywszy los Zosi, spełnić mój ślub w Chełmie i prosić tam Boga, aby chwała Maryi brzmiała po wszystkie wieki w ziemi naszej, a Rodzicielka Boża znała nas, jako wierne sługi, a poddane swoje i od wszego złego strzegła!

Opowiedziawszy dzieje mej niewoli i wybawienia, odkryć muszę tajemnicę, od której zależy szczęście wasze, miłe dzieci! — ciągnęła dalej Bazyliśa, zwracając mowę do Bohdana i Zosi. Urodzona w prostej chacie i wczesna sierota, wziętą zostałam do dworu na usługi córki dziedzica. Przywiązałam się wkrótce całą duszą do młodej pani mojej i gotowa byłam, jak to powiadają w ogień skoczyć dla niej. Póki żył ojciec, pan zacny i stateczny, nie znała ona troski, lecz właśnie,

gdy umarł, zjawiać się poczęli liczni konkurenci, a dumna matka wybrała na zięcia niemłodego starostę znakomitego rodu, z królewskimi dostatkami; człek ten nie mógł pozyskać serca zdawna oddanego innemu. Jeszcze za życia ojca poznała Anna u ciotki młodego włoskiego szlachcica, nadwornego malarza tejże. Stało się jakoś, że gdy wymawiał jej wizerunek, to już rozstać się z sobą nie mogli...

Długo nikt świadom nie był tej miłości, lecz gdy matka zmusić chciała córkę do niemilego związku, ta wyznała jej wszystko...

Wielki Boże! a toż to było dopiero gniewu! Panienka u nóg leżała, błagając litości, a pani matka swoje i swoje, dość, że gdy potem przybiegła do mnie (a z jej łaski byłam już wtedy od roku blisko żoną Jakóba) i nuż radzić, coby tu począć? Zażądała w końcu, aby mój jechał co prędzej dać znać o wszystkim ulubionemu.

I stało się, jako pragnęła, bo oboje nie mogliśmy jej niczego odmówić. Przyjechał młody, uwiózł potajemnie narzeczoną i we Lwowie połączyli się oboje dozgonnemi śluby.

Zagniewana srodze matka poprzysięgła wtedy, że nigdy nie zobaczy córki, nigdy nie zapyta o jej dolę i dotrzymała okrutnej przysięgi.

Nikt w całym domu pod karą wydalenia nie mógł wspomnieć o Annie, bo i brat jej jedyny, podobny do dumnej matki dopomagał tejże w dziele pomsty. Aby łącniej zatrzeć pamięć biednej kobiety porzuceno dawną siedzibę, a obraz, dzieło młodego malarza, zniszczyć rozkazano...

— Alem ja ten portret ocaliła — wtrąciła z cicha Małgorzata — bo obie z panią moją znałyśmy od dziecka Annę i nie mało łez wylałyśmy nad jej losem...

Zosia pochwyciła rękoma rozpalone skronie.

— O, powiedzcie mi — zawołała — powiedzcie przez litość! kto była ta kobieta, ta piękna i blada pani, której wizerunek stawiałam mimowolnie przed oczy starościny?

— Córka jej, nieszczęśliwa Anna, to matka twoja! — rzekła poważnie Bazyliśa.

\* \* \*

W kilka godzin dopiero po tem wyznaniu, skoro Zosia uspokoiła się ze wzruszenia wielkiego, Bazyliśa opowiedziała dalsze dzieje jej rodziców.

Z początku żyli spokojnie we Lwowie, lubo nieprześlągany gniew matki zatruwał im goryczą niejedną chwilę.



Po urodzeniu się Zosi, szczupłe zapasy wyczerpywać się poczęły, a groźna choroba płucna rozwinęła się gwałtownie u młodego cudzoziemca.

Wtedy to Anna powierzyła dziecię Bazylisie, nie mogąc podolać naraz staraniom koło niego i doglądaniu chorego.

Z początku miała nadzieję odebrać maleńką, lecz gdy choroba męża pogorszyła się mimo leków, krócych mu ze wszech stron dostarczano i wkrótce zakończyła śmiercią, w boleści swojej sądząc, że Bóg karze ją za postępek wbrew woli matki, umyśliła resztę życia spędzić w klasztornej ciszy.

Żalność i tęsknota wkrótce zerwały i tak już nadwątloną, nic życia młodej kobiety.

Bazyliśa i Jakób, których wezwała do siebie w ostatniej chorobie, chcąc zapewne wydać jakieś polecenie względem córki, nie zastali jej już przy życiu.

Bazyliśa, powróciwszy do domu, strapiona srodze śmiercią ukochanej pani, odtąd więcej jeszcze niż kiedykolwiek, postanowiła czuwać nad losem Zosi, a związek jej z Bohdanem, który wpierw obmyśliła, do skutku doprowadzić.

Wiemy już jakie zaszyły ku temu przeszkody, za to też w kilka tygodni po powrocie z niewoli tatarskiej zacnej wieśniaczki, kasztelan, przejeżdżany a życzliwy dla odnalezionej krewnej, wyszukał dowody jej urodzenia we Lwowie i połączył ją niebawem z młodym bratem żony swojej.

Wkrótce potem starościna umarła w klasztorze, który był ostatnim schronieniem jej córki, pobłogosławiwszy wnuczkę.

Na prośby Zosi i Bohdana panna Małgorzata zamieszkała wraz z Bazyliśą, która w późne lata w wielkiem była poszanowaniu w całej okolicy.

---

Pobożna ojców naszych prostota podaje wnukom powieść o wybawieniu tej wieśniaczki z niewoli pogańskiej, jako cud wiary i modlitwy.

W księdze wydanej około r. 1684, przez Jakóba Suszę, biskupa chełmskiego, opata żydyczyńskiego, gdzie obok historii obrazu chełmskiego spisane wszystkie łaski wymodlone w tamecznej świątyni, wspomnienie to brzmi w następnej osnowie: „Dnia 18 miesiąca września była u Najświętszej Panny Chełmskiej niewiasta ze wsi Cześnik z pod



Zamościa, JWJMć Pana Mikołaja Głogowskiego, kasztelana radomskiego poddana, imieniem Bazylisa albo Wasia, wdowa, która przed majestatem Boskim i przed cudownym Najświętszej Panny obrazem przysięgła, że ją w roku zeszłym Tatarowie wzięli i Turczynowi ją sprzedali, a będąc z wojskiem tureckim w Wołoszech i nie mając sposobów ujścia, całe się do Najświętszej Panny Maryi Chełmskiej ofiarowała. Co uczyniwszy i w nocy drogi nie wiedząc, przez wojsko niesłychanie wielkie tam sama przeszła, nikt jej zgoła nie widział i nikt nie słyszał. I tak zdrowa do wsi swej przez mil ośmdziesiąt i dalej wróciła się.“

Z powieści *A. z Ch. Borkowskiej*.



# Bóg tak chce!

## Obrazy z czasów Wojen Krzyżowych.

---

### Prorok fałszywy.

Już prawie sześć wieków upłynęło od bytności na ziemi Jezusa (tu znów objaśnić musimy, że Arabowie uznawali Zbawiciela naszego za jednego z największych proroków); żaden prorok nie był wysłany dla ożywienia serc obumarłych. Ludzie zapomnieli o czci Boga. W Arabii czczono bałwany, w Persyi hołdowano szatanowi. Świat stał się grzechem i nędzą. Wówczas to miłosierdzie powiało od Tronu Łaski (Boga). Książę Stworzeń (Mahomet), za wolą Tego, który daje bytom wszelkim istotę odrębną, Pośrednik, Wybraniec, urodził się z Aminy, córki Abd-Munafa-Zohri, roku Słonia (to jest w r. 570) i okazał mieszkańcom ziemi swoje rysy błogosławione, ozdobę świata.

Bajarze arabscy następnie takie wymyślili brednie o nadzwyczajnościach, które rzekomo towarzyszyły urodzeniu Mahometa:

W Syryi rzeka Samawah, od tysiąca lat sucha, uległa wezbraniu gwałtownemu i wylała. W Persyi ogień święty, który od lat tysiąca płonął pod opieką magów (czarodziejów), zgasł. W Ktezyfonie jezioro Sadah wypróżniło się do dna. Pałac Chozroesa Anuszyrwana uległ tak gwałtownym wstrząśnieniom, że 40 szczytów runęło, a jednocześnie otrzymano wieść z Estakaru, że płomień głównej świątyni perskiej zgasł. Tej samej nocy, gdy Korejszyci zebrali się w świątyni, aby uczcić jednego z bałwanów swoich, bożek ten trzy razy padał na ziemię i był za każdym razem podnoszony. Za trzeciem razem głos z wnętrza jego obwieścił:

— Wszystkie okolice świata są rozjaśnione urodzeniem, bałwany padają, a wszyscy królowie ziemi mają serca trwogą przejęte...

W chwili, gdy Mahomet miał przyjść na świat, Amina doświadczyła drżenia we wszystkich członkach, poczem ujrzała dom, oświetlony rześcicie, i to ją przejęło obawą. Wreszcie ptak wielki, biały, musnął ją z lekka skrzydłami. Uspokoiwszy się, uczuła pragnienie palące, i wówczas podano jej napój bardzo biały, który wzięła za mleko, smak jego wszakże był słodszy od miodu. Następnie ujrzała przy łożu swoim wysokie niewiasty. Biorąc je za córki młode Beni Abd-Mudafa, pytała je ze zdziwieniem, skąd przybyły? One ją uspokajały. Wówczas rozwinęła się przed nią długa szata złotogłówna białego i te słowa spłynęły ku niej:

— Trzymajcie ją ukrytą przed spojrzzeniami wszelkimi!

Jednocześnie zjawił się w powietrzu tłum ludzi, z naczyniami srebrnemi w rękach.

Amina, tonąc w pocie, który roztaczał woń piżma, zawołała:

— Pragnęłabym, żeby Abdul-Muttalib był tutaj!

Tymczasem rozwinął się przed nią widok świata całego, olśniewający płomieniem i światłem. Legion ptaków, z dziobami szmaragdowymi a skrzydłami rubinowymi, ulatywał pod obłoki, a gdy Najwyższy podniósł wszystkie zasłony, Amina poglądała na ziemię całą, bez trwogi, od Wschodu do Zachodu. Chorągwie wyprostowały się po nad Kabą i innemi miejscami, a cały dom zadrżał.

Natychmiast po przyjściu na świat, Mahomet ukorzył się przed Bogiem. Gdy wznosił głowę ku Niebu, nagle ręka jakaś schwyciła dziecię i uniosła w obłoku, który je zasłaniał przed wzrokiem, a głos dziwny wymówił te słowa:

— Przyjmijcie go w poczet proroków; przyodziejcie go w szatę zaszczytną religii prawowiernej; przedstawcie go przodkowi jego, Abrahamowi; unieście go do oceanu, żeby mieszkańcy morza widzieli, iż za życia jego bałwochwalstwo i niedowiarstwo będą zniszczone.

Następnie rozwinęto tkaninę wełnianą, na tej rozwinęto szatę jedwabiu i na niej dziecię ułożono. Trzymało ono klucze w swej ręczce, a głos obwieścił:

— Oto Mahomet, który przynosi klucze proroctwa, zwycięstwa i umocnienia.

Po chwili zstąpił z nieba inny obłok, świetniejszy od poprzedniego, słychać było, że w wnętrzu jego rżały rumaki i ptactwo biło skrzydłami. Gdy zaś Mahomet był przez czas dłuższy ukryty w obłoku onym przed wzrokiem matki, zabrzmiał donośnie w uszach Aminy rozkaz wyraźny:

— Niech go obnoszą dokoła ziemi; niech go przedstawia geniuszom i ludziom; niech ma w udziale czystość Adama, siłę Noego, przyjaźń Boga, wyposażenie Ahrahama, naturę Izaaka, wymowę Izmaela, przy-

wilej nowin radosnych Jakóba, piękność Józefa, głos Dawida, żarliwość Jana Chrzciciela i dobroć Jezusa! Niech go pograżą w morzu przepiśków moralnych, które są dziełem proroków i posłanników natchnionych!

Po dłuższym oczekiwaniu, Amina ujrzała znów dziecko, ze sztuką jedwabiu białego w rączkach, z wodą łaski Bożej, sączącej się z jego ciała kroplami grubemi. Głos teraz obwieścił:

— Mahomet trzyma w dłoniach świat cały, wszelkie stworzenie winno mu cześć i posłuszeństwo!

Dnia następnego, kapłani żydowscy rzekli do Abdul-Muttaliba:

— Czytaliśmy w księdze Torah, że tej nocy książę czasów starożytnych i nowych ma się narodzić w dolinie, która stanie się miejscem pielgrzymek Arabów. Pochodnia ta pewnie tej nocy już się zapaliła.

Abdul-Muttalib posłał po wiadomość do Aminy, która odpowiedziała:

— Tej nocy powiłam dziecię. Światło spłynęło z niego na świat cały. Głos jakiś kazał mi je ukrywać przez trzy dni.

Abdul-Muttalib udał się sam do Aminy, żeby zobaczyć dziecko i zmusić ją do wskazania domu, w którym było ukryte. Ale znalazł wejście strzeżone przez człowieka o wyglądzie strasznym, grożącego mieczem i temi słowy:

— Odejdź! Nikt nie może widzieć go, dopóki Aniołowie nie ukończą swoich odwiedzin.

To zjawisko taką trwogą przejęło Abdul-Muttaliba, że przez dwa dni był niemy. Dnia trzeciego otrzymał powinszowania od swoich przyjaciół i zabił kilka wielbłądów na ucztę dla nich. Razem z gośćmi wybrał dla wnuka swego imię Mahometa, które znaczy: „Godny pochwały”. Nazajutrz wrócił do Aminy, wziął dziecko w ramiona, zaniósł je do Kaby, gdzie kazał mu ukorzyć się, z rączkami opartymi o ziemię, przed budynkiem świętym, a sam także złożył dziękczynienie:

— Chwała ci, o, Ałlahu, że dałeś mi wnuka tak pięknego! Chronię się do budowli świętej, żeby znaleźć obronę przed zbrodniami czarników, przed atakami buntu i zawiści.

Następnie odniósł dziecko Aminie, mówiąc:

— Strzeż je pilnie, gdyż jest ono do przeznaczeń wielkich powołane.

Takim oto stekiem nedorzeczości, bredni śmiesznych, otaczają Arabowie narodziny swego „proroka”. Również całe życie Mahometa ubarwiają mnóstwem baśni i fałszów. Odrzuciwszy te wymysły, postać Mahometa przedstawi nam się w zupełnie innem świetle. Był to człowiek nie bez zdolności i sprytu, ale zawsze i wszędzie kierowały nim pobudki poziome, osobiste, samolubne, a nawet podstępne, szalbiercze.



Jeżeli wymyślił nową religię, to żeby wmówiwszy w ziomków swoich, iż jest posłannikiem Boga, dobić się władzy najwyższej, potęgi ziemskiej. Był przytem człowiekiem chorym umysłowo, napadały go konwulsye, podczas których właśnie miewał rzekomo widzenia i na ich podstawie wykoncypował ową swoją religię. Przypatrzmy się tej jego działalności.

Otóż, zwyczajem arabskim, Mahomet zaraz po urodzeniu oddany został Beduince „na mamki”, a po terminie określonym wrócił do Aminy. Lecz dziecku, które przyszło na świat po śmierci ojca, sądzona była dola zupełnego sieroty. Straciwszy matkę w 6-ym roku życia, dostał się pod opiekę dziadka, gdyż zaś ten po trzech latach umarł, przeszedł z kolei pod opiekę stryja, Abu Taliba, który go również kochał serdecznie. W tym okresie życia, Mahomet miał być „słodki i uprzejmy w obejściu, poważny, zamyślony, chodził często na pustynię, żeby poić stada swego stryja i całemi godzinami przypatrywać się wspaniałym krajobrazom wschodnim“. Chciwie pochłaniał pieśni i baśni ludu, rozmarzając coraz bardziej zapalny umysł i nerwowe usposobienie. Obserwował też życie spółziomków swoich, pełne swarów, niemoralności, występków zbrodniczych. Podczas podróży ze stryjem do Syrii, lepiej się przyjrzał nędzy ludu i jego religijnemu zwyrodnieniu.

(D. c. n.)



## Wolność wiary.

Dnia 30 kwietnia ogłoszony został Ukaz Najwyższy do Senatu, dozwalający wszystkim mieszkańcom Państwa Rosyjskiego wyznawać taką religię, jaką każdy z nich sam sobie wybierze, bez krępowania go w tym względzie jakimkolwiek przepisami lub prawami państwowymi. Zatem miliony dusz odzyskały swobodę chwalenia Boga wedle przekonania i serca swego, za co też przedewszystkiem Bogu Najwyższemu winniśmy składać dzięki. O doniosłości tego dobrodziejstwa rozpisywać się nie będziemy. Rozumie je każdy i odczuwa. Natomiast powiemy, w jaki sposób, na mocy rzeczzonego Ukazu Najwyższego, mają być przyłączani do Kościoła katolickiego unicy i prawosławni. Wskazówki co do tego dał najpierw Jego Dostojność ks. biskup wileński. W Liście Pasternskim, zwróconym do duchowieństwa i wiernych, ogłosił mianowicie:

„W stosunku do osób, pragnących na zasadzie Ukazu Najwyższego przyjąć religię katolicką, należy przestrzegać następującego porządku: Osoby te winny albo osobiście, albo przez pocztę, albo przez proboszczów miejscowych, zwracać się do mnie, lub do znajdującego się pod zwierzchnictwem mojem konsystorza, z piśmiennem oświadczeniem o swem życzeniu przyłączenia się do wiary katolickiej, wyszczególniając przytem: stan swój (mieszczanie powinni wskazać miasto, do którego należą, włościanie gminę); stan rodzinny (kawaler, wdowiec, ile ma lat, — żonaci powinni wymienić religię żony i dzieci, imiona i wiek każdego z nich, wreszcie wiadomość, czy żona też przyłącza się do religii katolickiej wraz z mężem, czy też pozostaje w religii dawnej); miejsce zamieszkania; parafię prawosławną, do której należą i parafię katolicką, do której będą należały. Osoby, przyjmujące religię katolic-

ką, mogą być wciągane do spisów parafialnych danego kościoła nieinaczej, jak po otrzymaniu rozporządzenia z konsystorza“.

Jednocześnie ogłosili wskazówki co do tej sprawy J. E. ks. arcybiskup warszawski i J. E. ks. biskup lubelski. W rozporządzeniach tych niema różnicy wielkiej. Według nich, osoby, pragnące przyłączyć się do Kościoła katolickiego, podzielone zostały na trzy kategorie, to jest:

Byli greko-unici, którzy chociaż zostali zaliczeni do prawosławia, duchem jednak należeli do Kościoła katolickiego.

Byli greko-unici, którzy już się przyłączyli do prawosławia, a obecnie chcą wrócić do Kościoła katolickiego.

Osoby urodzone i wychowane w wierze prawosławnej.

W pierwszym wypadku wszystkich zgłaszających się byłych unitów przyjmuje władza duchowna bez żadnej formalności, zapisując ich tylko do księgi, zwanej *Liber conversorum*, i wydaje świadectwo o tym akcie, dla okazania go władzom rządowym, te bowiem osoby spełniały obowiązki katolickie i z Kościołem swoim nie zerwały.

W wypadku drugim ks. biskup lubelski poleca, aby przyjmowano byłych greko-unitów tylko po wypełnieniu przez nich warunków, przepisanych prawami kanonicznymi, a mianowicie — po uprzednim wyegzaminowaniu ich z zasad wiary naszej, oraz po odprawieniu nad nimi właściwych ceremonij.

Gdy się wreszcie zgłoszą osoby urodzone i wychowane w wierze prawosławnej, proboszcz obowiązany jest spisać protokół w obecności dwóch świadków, z wymienieniem, z jakich pobudek dana osoba pragnie się przyłączyć do Kościoła katolickiego, czy powodowana jest tylko przekonaniem i dobrą wolą, a nie czyni tego pod groźbą i przymusem osób postronnych.

Oczywiście, nie można wszystkich zgłaszających się przyjmować bez poprzedniego przekonania się o znajomości przez nich zasad wiary katolickiej. Do kapłana również należy przygotować odpowiednio nawracającego się do przyjęcia Sakramentów Ś-tych i wyjaśnić mu rzeczy trudniejsze, aby wszelkie wątpliwości, jakie jeszcze mogłyby w umyśle jego pozostać, były tym sposobem usunięte. Tylko po zupełnem przygotowaniu i głębokiem przekonaniu danej osoby, można jej udzielić Sakramentów Ś-tych.

„Gazeta Sądowa”, pisząc o wolności wiary, czyni bardzo ważną uwagę, a mianowicie: „Wskutek Ukazu o wolności religijnej z dnia 30 kwietnia r. b., wielu unitów, żyjących bądź w związkach błogosławionych przez kościół, lecz nieuznanych przez prawo, bądź w związkach nieślubnych, zwraca się do władzy duchownej o zaliczenie ich do wyznania rzymsko-katolickiego, a zarazem w przypadkach pierwszej kate-

goryi o spisanie aktu małżeństwa, w przypadkach zaś drugiej kategorii — o udzieleniu ślubu i spisanie aktu małżeństwa.

Z przeważnej liczby tych związków rodzice posiadają dzieci, które stosownie do artykułu 291 kodeksu cywilnego polskiego z roku 1825 mogą być uprawnione, jeśli rodzice uznają je w akcie małżeństwa. Uprawnienie może nastąpić w myśl artykułu 293 tegoż prawa względem dzieci już zmarłych, które pozostawiły po sobie potomstwo. Wreszcie art. 101 stanowi, że akt uznania będzie wpisany w księgi podług swojej daty i wzmianka o nim uczyniona będzie na brzegu aktu, jeżeli się akt ten znajduje.

Uprawnienie dzieci, o jakich tu mowa, jest rzeczą pierwszorzędną dla nich wagi, zapewni im bowiem stan cywilny, nazwisko, oraz prawa familijne i spadkowe; wszystkich zaś dobrodziejstw tych byłyby one pozbawione, jeśliby w aktach małżeństwa rodzice ich nie uznali. Włóścianie przecież, nieświadomi prawa, najczęściej nie objaśnia księży o posiadanych dzieciach i utracą tak łatwą sposobność uprawnienia swojego potomstwa.

Jest więc rzeczą konieczną, aby księża, przystępując do spisania aktów małżeństwa byłych unitów, wypytywali uprzednio, czy mają dzieci, a w razie twierdzącym, objaśnili o możliwości uprawnienia dzieci tak żyjących, jak i zmarłych, które pozostawiły potomstwo, wreszcie, aby zastosowali przepisy art. 291, 293 i 101 kod. polskiego z r. 1825."

Z powodu ogłoszenia Ukazu Najwyższego, wszystkie czasopisma warszawskie pomieściły uwagi, dotyczące spraw unickich. „Kurier Warszawski” i „Gazeta Polska” wydrukowały co następuje:

Trzydzieści lat mija od tych wydarzeń dziejowej doniosłości, które wielotysięczną ludność unicką, zamieszkałą w Królestwie Polskiem, pozbawiły własnego obrządku kościelnego. Z wiadomości urzędowych, te wydarzenia objaśniających, przytaczamy niektóre, mówiące o przyłączeniu tak zwanej Chełmszczyzny, a raczej całej gubernii lubelskiej, do prawosławia.

Dnia 23 maja 1875 r., w dzień Ś-go Cyryla i Metodyusza, warszawski arcybiskup prawosławny przyłączył do swej cerkwi 45 duchownych unickich, z administratorem dyecezyi chełmskiej na czele, a z nimi 46 parafij powiatów chełmskiego, lubelskiego i krasnostawskiego. We dwa dni potem, w Hrubieszowie, na łono cerkwi prawosławnej przyjęto 38 duchownych i 49 parafij unickich z powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Wreszcie 28 tegoż miesiąca, w Zamościu, przyjęło prawosławie 44 duchownych i 51 parafij powiatów zamoyskiego, biłgorajskiego i janowskiego. Zatem w ciągu trzech dni wymienionych przyłączono do cerkwi prawosławnej 147 parafij unickich gubernii lubelskiej i 134 tysiące osób.



Tak oto zakończyły się dzieje grecko-unickiej dyecezyi chełmskiej, która istniała od r. 1596. Po pierwszym rozbiorze Polski w r. 1772, gdy odpadłe od niej województwo bełskie weszło do składu dyecezyi przemyskiej, obejmowała ona późniejsze gubernie: lubelską, siedlecką, łomżyńską, suwalską, oraz parafie unickie w Warszawie i w Krakowie. Od r. 1815 do r. 1830 dyecezya chełmska dzieliła się na 21 dekanatów czyli „błahoczynij”, z tych w województwie lubelskiem były: chełmski z 9 kościołami, dubieniecki z 10 kościołami, grabowiecki z 9, horodelski z 8, hrubieszowski z 18, krasnystawski z 11, lubelski z 16, szczebrzeszyński z 16, tarnogrodzki z 10, tomaszowski z 6, tyszowiecki z 17 i zamoyski z 7 kościołami; w województwie podlaskiem: włodawski z 17 kościołami, kodeński z 9, wiznicki z 10, międzyrzecki z 14, łasiczki z 11, parczowski z 9, bialski z 12, sokołowski z 12; w województwie augustowskiem; tykociński z 9 kościołami. Ogółem cerkwi unickich w Królestwie Polskiem było wówczas 287, a klasztorów 5: w Chełmie, Białej, Lublinie, Zamościu i Warszawie. Cerkwi prawosławnych było wtedy w Królestwie Polskiem 6.

W r. 1830 Królestwo liczyło unitów 239 tysięcy 548. W r. 1842 parafij unickich posiadało 280. W r. 1863 posiadało unickich cerkwi parafialnych 270, filialnych 75, unitów 222 tysiące 999, duchownych unickich świeckich 209, zakonników 20. W r. 1867 było parafij unickich 267; wreszcie w r. 1874 liczba świątyń unickich wynosiła 266, liczba zaś unitów 260 tysięcy 578.

Seminaryum greko-unickie założył w Chełmie w r. 1757 biskup Maksymilian Rytło. Skasowano je za czasów austriackich, gdyż istniało również we Lwowie; przywrócone potem za Księstwa Warszawskiego, istniało do ostatnich dni unii. Już na 35 lat przed zerwaniem unii z Kościołem katolickim, w r. 1840, unici ze wsi Luchów Górny, Babice i Potok Górny, w powiecie biłgorajskim, przyłączyli się do prawosławia.

Na stolicy biskupiej unitów w Chełmie zasiadali w XIX stuleciu: Porfiry Ważyński od roku 1790 do roku 1804; Ferdynand Ciechanowski 1810 — 1828; Filip Felicjan Szumborski 1828 — 1851; Jan Taraszkiewicz 1851 — 1863; Jan Kaliński 1863 — 1866; Józef Wóycicki (administrator) 1866 — 1868; Michał Knażemski 1868 — 1871; Marceł Popiel (administrator) 1871 do r. 1875.

Ukaz Najwyższy o wolności wiary wywoła niechybnie zmiany w stosunku liczebności mieszkańców różnych wyznań. Przed trzema laty ludność w gubernii lubelskiej wynosiła 1 milion 393 tysiące 543 głów, w tej liczbie prawosławnych 269 tysięcy 199. Liczbę tak zwanych unitów *opornych* źródła urzędowe określały w całym kraju na 83

tysiące głów. Ten zastęp, jak się zdaje, powiększy grono wyznawców Kościoła katolickiego.

Jakoż Ukaz Najwyższy poruszył mnóstwo serc. Zewsząd napływają wiadomości o niezmiernem rozradowaniu, z jakim wita lud swobodę wyboru religii. Do Chełma, na doroczny odpust Matki Boskiej Łaskawej, 14 maja, której obraz posiada katolicka świątynia parafialna, napłynęło z bliższych i dalszych okolic mnóstwo wiernych, mimo że wieśniaków z okolic Krasnegostawu powstrzymał od udziału w uroczystości przyjazd w tamte strony ks biskupa Jaczewskiego. W porównaniu z latami ubiegłymi przybyło w trójnasób więcej osób. Wobec nowych rozporządzeń pasterskich, przybyli też w większym zastępie kapłani z okolic, którzy od świtu do zmierzchu spowiadali pobożnych.

Duchowieństwu katolickiemu przybyło wiele pracy. W Chełmie około 500 dzieci odbywa katechizacyę, a są parafie na Podlasiu, w których naukę katechizmu pobiera około tysiąca dzieci. Przyrostu owczarni katolickiej na razie określić niepodobna. Jest bardzo znaczny. W samej parafii chełmskiej, w ciągu jednego tylko tygodnia, przybyło około tysiąca pięciuset nowych wyznawców religii katolickiej.

W smutnem położeniu znajdowali się przez długie lata byli duchowni unicy, zaliczeni do *opornych*. Pozbawieni zostali nietylko owczarni, ale i środków do życia. Tak naprzykład, w Radomiu od lat 30 mieszka były proboszcz parafii Kopyłów, Ojciec Justyn. Nie mając przyznanej emerytury, zarabiał na życie u rejentów miejscowych, jako świadek do aktów. Dziś starzec ten, 89 lat liczący, ma tę pociechę, że przestano go uważać za *opornego*. Księży unickich w podobnem położeniu znajduje się obecnie w Królestwie 18. Mieszkają przeważnie w Warszawie.

Z Hrubieszowskiego piszą do „Kuryera Warszawskiego”:

Skoro tylko wieść o wolności wiary przedostała się z ambon kościelnych pomiędzy lud, wnet zapanowała wśród niego radość. Posępne zazwyczaj twarze wieśniaków okolic Hrubieszowa opromienia uśmiech szczęścia; cieszą się starzy z tej wiosny, której nie spodziewali się dożyć; radują się młodzi zaraniem dni nowych. Na widok zaś ciasnoty, jaka teraz zapanowała w kościołach, zamyślają o rozszerzeniu świątyni katolickich; gdzieindziej, wobec szybkiego przyrostu wiernych, czynią starania o utworzenie nowej parafii, jak naprzykład w okolicach Kurmanowa i Raciborowic, odległych blisko o 2 mile od najbliższego kościoła w Moniatyczach, po straszliwej, pełnej wertepów drodze. Nowa parafia liczyłaby na początek 500 dusz.

Dają się także słyszeć życzenia obrócenia byłych cerkwi unickich na kościoły katolickie; zdarza się to tam szczególnie, gdzie wszyscy niemal parafianie przeszli na łono Kościoła katolickiego. Prośbę, w spra-

wie rozszerzenia świątyni i utworzenia nowych parafij, podano J. E. biskupowi lubelskiemu, ks. Jaczewskiemu.

Nie od rzeczy będzie nadmienić, że w Kurmanowie istniała kaplica unicka, ufundowana pomiędzy r. 1830 a 1840, przez stryjecznego dziada obecnego właściciela dóbr Raciborowice, ś. p. Wincentego Wydźgę z Trzeszczan. W r. 1875 obrócono ją na cerkiew prawosławną. Do niedawna istniał zamiar rozszerzenia tej cerkwi, na co zbierano w parafii składkę; po ogłoszeniu Ukazu o wolności wiary, zaniechano rozszerzenia cerkwi, złożone zaś na ten cel składki mają być zwrócone ofiarodawcom.

Wszystkie te zabiegi pełne są powagi i spokoju. Lud nie zachęcany przez nikogo, nie znając innych bodźców prócz sumienia własnego, chce się modlić tam, dokąd go ciągnie serce, wyznawać taką religię, jaka najbardziej opanowała jego duszę. Są wsie, jak Raciborowice i Zausze, których mieszkańcy od dwóch lub trzech pokoleń zerwali z unią — tam Ukaz nie wywołał żadnego ruchu wyznaniowego. Natomiast znaczny przyrost katolików zyskały większe ogniska, jak: Hrubieszów, Dubienka, Horodło, Uchanie i inne.

Do połowy maja, w parafii hrubieszowskiej Kościołowi katolickiemu przybyło 2 tysiące wyznawców. W izbach na przedmieściach i chatach przydrożnych, gdzie przez szereg lat nie rozjaśniał ścian żaden obraz święty, dziś króluje Panienka Częstochowska. Tak się zdarzyło, że radosna doba odzyskania wolności sumienia przypadła w miesiącu, poświęconym czei Maryi. Lud wdzięczny tłumnie spieszy na nabożeństwo doroczne, zdobiąc kwieciami wonnem Jej ołtarze.

Do wzmożonej olbrzymio pracy duchowieństwa katolickiego przybywa, na razie, obowiązek potwierdzania aktów ślubnych, zawartych dawniej zagranicą. Jednego dnia, przed ołtarzem w kościele hrubieszowskim, stanęło 20 par takich „dawnych nowożeńców.”

Od lat z górą 30, pasterze lubelscy nie wizytowali swej dyecezyi. Ukaz Najwyższy zniósł to ograniczenie, przeto obecny biskup lubelski, ks. Jaczewski, niezwłocznie udał się na wizytację. Wszędzie przyjmują go ze łzami radości, z uniesieniem, nad wyraz wspaniale. Zawitał najprzód Dostojny Pasterz do Fojsławic, dokąd też tłumnie zgromadziła się ludność. Włościanie wystąpili przeważnie konno a strojno. Kościół ozdobiono zielenią i kwieciami, na drogach stały olbrzymie słupy z choągwiami.

Z Fojsławic udał się Dostojny Pasterz do Krasnegostawu, otoczony banderyą włościan z Fojsławic, Olszanki i Łopiennik, w strojach ludowych, na wstęgami przystrojonych koniach. W drodze zatrzymał się w lesie łopiennickim. Gdy wysiadł z karety, powitała go deputacja parafian, z rejentem Majewskim i włościaninem Bojarskim na czele, któ-



rzy mu podali, na pięknie wyrzeźbionej z drzewa, przez Knapińskiego, rzemieślnika miejscowego, tacy, chleb i sól, przyczem p. Majewski wypowiedział serdeczną mowę. Pasterz przyjął hołd i pobłogosławił zebranych, następnie wsiadł do pojazdu i otoczony banderyą włościan krasnostawskich, udał się w dalszą do Krasnegostawu drogę.

Już na parę wiorst przed miastem, po obu stronach drogi, tłumy pobożnych oczekiwały Pasterza. Wjazd odbywać się musiał powoli. Rozradowani dycyzyanie chcieli pojazd własnymi ciągnąć rękoma, ale Jego Dostojność nie pozwolił na to. Kareta zatrzymała się przed bramą tryumfalną, tu Jego Dostojność wysiadł, został powitany przez duchowieństwo, następnie udał się do kościoła. Porządek na ulicach i w kościele utrzymywała straż ogniowa ochotnicza, pod kierunkiem p. Certowicza.

Nazajutrz od godziny 7 rano Jego Dostojność, na placu przed kościołem, udzielał Sakramentu Bierzmowania. Jednocześnie wzniesiono ołtarz na placu, gdzie odprawił Mszę Ś-tą, a dnia następnego udał się do parafii Tarnogóra, w towarzystwie banderyi włościan, utworzonej z 600 ludzi. Banderya sunęła czwórkami, prowadzili ją panowie: Szczypiorski z Surkowa, Drużyłowski z Widobyczy i Skawiński z Nadolnej Siennicy. Na granicy parafii, w lesie orłowskim, powitało Jego Dostojność mnóstwo osób. Tu z banderyą włościan krasnostawskich połączyli się włościanie tarnogórscy i odprowadzili Jego Dostojność do kościoła parafialnego.

Z kolei udał się Dostojny Pasterz do Zamościa — gniazda hrabiów ordynatów Zamoyskich, fundowanego przez słynnego w dziejach kanclerza i hetmana: Jana Zamoyskiego, gdzie trzy dni zabawił. Mieszkańcy uczynili wszystko, co tylko mogli, aby Jego Dostojności radość swoją okazać. Jakoż przyjęcie odbyło się wspaniale. Od strony Rejowca zbudowano bramę tryumfalną, ozdobioną chorągwiami, godłami biskupiem, Okiem Opatrzności i napisem: „Witaj, Pasterzu nasz!” Przystrojono też pięknie kwieciami, zielenią i chorągwiami kolegiatę, dzwonnice i ambonę, wzniesioną na cmentarzu kościelnym.

Ludu przybyło mnóstwo. Dążył ten lud pobożny kompaniami, prowadzonymi przeważnie przez kapłanów. Ciągnęły kompanie owe z pieśnią, z chorągwiami, z feretronami, a od brązowych i ciemnych sukman włościańskich pięknie odbijały białe sukienki dziewcząt. Między innymi przybyły pielgrzymki: z Łabuń, Krasnobrodu, Dzierążni, Widoń czy i z Hrubieszowskiego. Kapłanów przybyło 40 — ziemianie okoliczni stawili się wszyscy i to z rodzinami.

Po południu, około 5-ej, tłum zajął przestrzeń od kolegiaty do bramy tryumfalnej. Wszędy, gdzie jeno spojrzaleś, — na cmentarzu kościelnym, na ulicach Kolegiackiej, Biłgorajskiej, w parku, na parkanach,



na balkonach, na szosie, — wszędy falowało morze głów ludzkich. Obliczono, że w uroczystości uczestniczyło do 40 tysięcy osób...

Niektórzy kierownicy uroczystości udali się na spotkanie Jego Pasterskiej Mości do odległego o wiorst kilka Sitańca, gdzie na cmentarzu kościelnym widniała również brama tryumfalna, z takim samym jak w Zamościu napisem. Przy bramie włościanie, z gorejącymi świecami woskowymi, tworzyli długi szpaler. Pasterza powitał mową włościanin Rycyk. Poczem Jego Dostojność ruszył do Zamościa, otoczony banderyą włościan. Jadą i jadą — opowiada naoczny świadek uroczystości — chłopcy na schwał, prowadzeni przez młodego dziedzica, dwójkami, w różnych barwach. Pięknie wyglądają w białych parciankach, na siwoszach, włościanie z Udrycz i Borowiny. Walą Namysłowczyki, dzielne muzykanty, z dziedzicem swoim, który granatową kapotę ze wstęgami barwnymi przywdział i czapkę zadzierzystą. Jedzie lud nasz kochany w kapotach, spencerach, kurtach, — magierkach, kapeluszach słomianych, czapach z daszkami; jedzie na koniach przystrojonych we wstęgi i kwiaty... Jadą chłopcy z Chomęcisk, z Płoskiego, Hyży, Huszczki, Świnek, Dużego Jarosławca, Szopina... A pono półtora tysiąca było ich w tej banderyi...

Porządek wszędy wzorowy. Karetą Jego Dostojności swobodnie się posuwa wśród tłumów, pokrzykujących:

— Wiwat! Niech żyje!

Przed bramą tryumfalną Jego Dostojność wysiada, przyjmuje ofiarowane sobie na pięknej tacy, przez Maurycego hr. Zamoyskiego oraz p. Sajkiewicza, ziemianina, chleb i sól. Pan Sajkiewicz przemawia, nadmieniając:

— Gdy widzisz spełnione najdroższe marzenia Swoje, Pasterzu nasz, za czyny Twe i zasługi dla Kościoła, oddajemy Ci dusze nasze!

Po przemowie, odzywają się pienia śpiewaków, sprowadzonych z Warszawy, Jego Dostojność kroczy pod wspnianiałym baldachinem, niesionym przez: p. Świdzińskiego, ziemianina, Zborowskiego, inżyniera, mieszczanina Dziubę i włościanina Mnicha ze Zwodnego. Przed i za baldachinem snuje się wspnianiały orszak; porządku pilnuje straż ognio-wa fabryki cukru Klemensów. Ziemianki w bieli niosą z mieszczankami i włościankami olbrzymie wieńce; działwa w bieli drogę kwieci; kapela Namysłowskiego grzmi. A Pasterz, idąc powoli błogosławi dusze wierne...

Do kolegiaty wstąpił Jego Dostojność o 6½ godzinie. Tam po krótkim nabożeństwie przemówił do niego sędziwy proboszcz zamoyski, na co Pasterz odpowiedział z tronu, a następnie udał się na dziekanie znów pod baldachinem, otoczony gorejącem światłem, chorągwiami, przy

dźwiękach marsza radosnego. Jednocześnie na wieżach kolegiaty i dzwonnicy zapłonęły światła kolorowe.

Nazajutrz Jego Dostojność rozpoczął Bierzmowanie tysięcy wiernych, którzy otrzymywali medaliki pamiątkowe. Po Bierzmowaniu celebrował Sumę, podczas której kazania wygłosili ksiądz profesor Wydźga i ksiądz proboszcz Zbieć. Po Sumie udał się Pasterz na infułacę, przyjmował hołdy od przedstawicieli wszystkich stanów.

Do obiadu zasiadł w mieszkaniu ks. prałata Petrykowskiego, pod portretem kanclerza Zamoyskiego, mając obok siebie z jednej strony Maurycego hr. Zamoyskiego, a z drugiej rądcę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, p. Sajkiewicza. Przy stole między innymi zasiadli: ks. kanonik Dębiński, ks. proboszcz Wydźga, ks. Kłopotowski, ks. prałat Wadowski, ks. prałat Petrykowski, ks. Telatycki z Nielisza, ks. Fijałkowski ze Stoczka; panowie: Świdziński, Tuszowski z Chajownik, hr. Sołtan z Polanówki, Zawadzki z Udrycz, Kaszowski z Łabanisk, Świdzki z Mokrego Lipia, Lipczyński, Hełczyński, Brandt ze Smorynia, Grabowski, Baranowski, Suchodolski, Bukraba. Szereg toastów rozpoczął ks. prałat Petrykowski, wznosząc zdrowie Jego Dostojności, a ciągnął się ten szereg długo, każde zaś przemówienie było bardzo serdeczne. Inżynier Zborowski, wznosząc zdrowie ks. Kłopotowskiego, polecił pamięci biesiadników ochronę lubelską, ufundowaną przez tegoż kapłana. Zaraz też posypały się na ten cel datki hojne.

Po Nieszporach i kazaniu ks. proboszcza Sobieszczańskiego, Pasterz bierzmował lud do zmierzchu.

Uroczystości w Zamościu trwale się zapisały w sercu i pamięci zarówno Jego Dostojności, jak i wiernych. Niemniej wspaniale podejmował Pasterza Hrubieszów. Na spotkanie upragnionego Gościa wyjechała banderya, utworzona z tysiąca sześciuset włościan. Duchowieństwo i ziemianie przybyli bardzo licznie. Witął Pasterza doktor Dubiszewski z mieszczaninem Kosznikiewiczem. Uroczystości uświetniała kapela włościańska z Kieleckiego. Kompanij pątniczych przybyło 9: 2 z za Bugu, Włodziewierza i Korytnicy: siedm z Grabowca, Uchania, Trzeszczan, Monitycz, Horodła, Kryłowa, Oszczowa. Ogółem przybyło 25 tysięcy ludzi, z 30 księżmi. Można powiedzieć śmiało, że Pasterz i dyecezyjanie święcą teraz najmilsze chwile życia. Opis wizytacyi innych okolic dyecezyi z kolei pomieścimy.

*Ks. R. Ant.*



## Nowiny z Częstochowy.

---

**Zielone Świątki.** Uroczystość Zielonych Świątek ściąga licznych pielgrzymów na Jasną-Górę dla oddania hołdu Królowej Nieba i ziemi. W tym roku na te święta z powodu ogólnej biedy przybyło znacznie mniej pątników, niż za lat dawnych.

Jego Ekscelencya ks. biskup dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej we wszystkich ważniejszych chwilach życia swego zwykł był uciekać się pod opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej. Tu dążył, jako młodzieniec, wstępujący do seminarium duchownego — tu odprawiał pierwszą Mszę Ś-tą, jako kapłan — tu szukał ciszy do odprawiania rekolekcyj świętych, gdy był administratorem dyecezyi Sandomierskiej — tu biegł prosić Matki Bożej o siłę do dźwigania ciężarów pracy apostolskiej, gdy został biskupem dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej. — I w tym roku przyspieszył swój przyjazd na Jasną-Górę o parę dni, aby obchodzić tutaj trzecią rocznicę prekonizacyi na stolicę biskupią.

W dniu tym Jego Ekscelencya odprawił rano Mszę Ś-tą przed ołtarzem Matki Boskiej — a o godzinie jedenastej był obecny na uroczystej wotywie, którą na Jego intencję odprawił ks. Jenerał O. O. Paulinów. Podczas tego nabożeństwa ksiądz Jenerał wypowiedział stosowną do okoliczności mowę, którą poniżej przytaczamy.

Po skończonem nabożeństwie ks. Biskup udzielił wiernym apostolskiego błogosławieństwa. W ciągu pięciodniowego pobytu na Jasnej-Górze Najdostojniejszy Pasterz wybierzmował około trzech tysięcy wiernych. Prócz tego udzielił mniejszych święceń dwom klerykom zakonu paulińskiego: bratu Piotrowi Markiewiczowi i bratu Aleksemu Łuczajowi.

Dnia 13 czerwca, odprawił prymicye w Kościele Jasnogórskim ks. Władysław Służałek, student akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu.

Mowa wygłoszona przez ks. Jenerała zakonu OO. Paulinów w trzecią rocznicę prekonizacyi ks. biskupa Zdzitowickiego. Najdostojniejszy pasterzu! Chwile idą tak prędko, jedna po drugiej, że człowiek, gdy obejrzy się po za siebie, poznaje dopiero przestrzeń ubiegłą z tego, co się w nich stało.

Zdaje się nam, że niedawno mieliśmy szczęście po raz pierwszy u tego Tronu Bogarodzicy, powitać Waszą Ekscelencyą, jako Pasterza tutejszej dyecezyi i zanieść gorące modły za Niego. W rzeczy samej półtrzecia już roku upłynęło od tej chwili — czas ten zaznaczyły liczne trudy, troski i prace pasterskie Waszej Ekscelencyi, dla chwały Bożej i dobra Kościoła podjęte

Lecz dzień dzisiejszy szczególnie każe nam obrócić się wstecz, jest on bowiem rocznicą prekonizacyi na stolicę biskupią. Dziś trzy lata upływają od czasu, gdy Głowa Kościoła, namiestnik Chrystusa Pana, następca Piotra ś-go Leon XIII ogłosił w Rzymie Waszą Ekscelencyę Pasterzem dyecezyi tutejszej.

Odtąd pod sterem czujnym, ciągle czynnym i nie mającym spoczynienia, wierni i duchowni mają szczęście kierunek i bezpieczeństwo znajdować.

Jak kamień samotnie tu i owdzie będący, nie przynosi pożytku, znalazłszy się w ilości większej, otrzymuje znaczenie, a gdy obrobiony i ułożony w pewne formy, powstają z niego piękne domy i świątynie wspaniałe, podobnie dzieje się z wiernymi i kapłanami, gdy są złączeni ściśle ze swym biskupem. Stanowią wówczas kamienie żywe najwspanialszej i najbardziej świata imponującej budowy, jaką jest Kościół święty. I Pismo święte naucza nas, że Apostołowie i ich prawowici następcy - Biskupi katoliccy łącznie z Piotrem ś-tym i Jego następcami są fundamentem, na którym opiera się Kościół Boży. Ktokolwiek odrywa się od tego fundamentu i samodzielnie chce istnieć i postępować, jak ów kamień, samotny, bezużyteczny... rozbiciu uległ musi... Historia Kościoła aż nadto daje na to dowodów.

Ludzie mieszkają bezpiecznie w domach takich, które mocno i warownie są zbudowane, podobnie bezpieczne są dusze i serca katolickie, gdy przebywają w Kościele świętym, zbudowanym na tak mocnym fundamencie. Wieki całe burz przelicznych i wysiłków piekła zachwiać nim nie zdołały i nie zdołają.

Dziś wszyscy wierni i kapłani winni złożyć korne dzięki Bogu, że dyecezyę tutejszą opatrzyć raczył Pasterzem i sternikiem czujnym, winni prosić Boga, aby raczył mocą i opieką swoją Go otaczać — za gończe ziemskie zsyłać Mu w obfitości pociechy niebieskie, których świat dać nie może.





Kompania z Puhaczewa, dyecezyi Lubelskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.



Takie też modły ponowimy za Ciebie, a teraz racz, Pasterzu, przyjąć od nas wszystkich, oddanych ci sercem całym, zapewnienie czci i miłości głębokiej. Niech przyczyna Bogarodzicy, strażniczki miejsca tego świętego i całej dyecezyi, dopomoże modłom naszym i wyprosi Ci, Najdostojniejszy Pasterzu, abyś długie lata w zdrowiu i pokoju wśród nas przebywał!

**Kompanie.** Bardzo miłe sprawiały wrażenie tak pobożnością, jak wzorowem porządkiem i zachowaniem się kompanie przybyłe do stóp Jasnej-Góry z Raszowy, z Górnego Śląska, z przewodnikiem Borycką, i z parafii Puchaczew, dyecezyi lubelskiej, z przewodnikiem Kacprem Romankiem. Podobizny obu tych kompanii w odbiciu fotograficznym podajemy w tomie bieżącym, w nadziei, że będą miłą pamiątką dla biorących w nich udział.



## Nowiny z daleka i z blizka.

---

### Wystawa Maryjna w Warszawie.

Na wstępie uwaga.

Gruntowny znawca języka i piśmiennictwa polskiego, profesor Aleksander Brückner, od wyrazu *Marya* formuje zupełnie słusznie przymiotnik *Maryjny*, gdy tymczasem inni formują nieprawidłowo *Maryański*. Nieprawidłowo dlatego, że *Maryański* może być utworzonym od wyrazu *Maryan* lub *Maryanna*, a przecież te wyrazy nie oznaczają imienia Bożej Rodzicielki. Co do nas, idziemy za wskazaniem profesora Brücknera i przedmioty, mające związek z Najświętszą Panną, stale nazywamy *Maryjnemi*, a więc i wystawę warszawską, urządzoną ku czci Maryi, nazywamy Maryjną. Nadmienimy jeszcze, że można się zgodzić na utworzenie od wyrazu *Marya* przymiotnika *Maryacki* (w Krakowie mamy kościół *Maryacki*, wieżę onego nazywamy od wieków *Maryacką*), ale nigdy — *Maryański*. Wyjaśnienie to umieszczamy, chcąc się z góry obronić od zarzutu bezmyślnej samowoli. Nie samowola, lecz umiłowanie czystości języka ojczystego nami kieruje.

---

#### I.

Zapowiedziana oddawna Wystawa Maryjna już otworzyła swoje podwoje. Jest ona niejako dalszym ciągiem uroczystości, urządzanych przez cały świat katolicki, z Rzymem na czele, ku upamiętnieniu pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia przez Papieża Piusa IX dogmatu Niepokalanego Poczęcia Przenajświętszej Bogarodzicy. Celem Wystawy jest



przedewszystkiem złożenie hołdu publicznego Maryi, utrwalenie i rozpowszechnienie czci dla Niej. Prócz tego dochód, osiągnięty z Wystawy, ma dostarczyć pierwszego zasobu na wzniesienie w Warszawie świątyni, pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Cel piękny, szlachetny, podniosły, budujący. Zrozumiał to ogół wiernych, to też Wystawę zwiedzają tłumy publiczności. A dodajmy, że Ojciec Ś-ty, dowiedziawszy się o otwarciu Wystawy, wyrazić raczył radość Swoją i przesłał Błogosławieństwo Apostolskie dla wszystkich, którzy przyczynili się do jej urządzenia. W zupełności zasłużyli na Święte Błogosławieństwo Namiestnika Chrystusa twórcy i uczestnicy Wystawy, na których czele stoi Najdostojniejszy Arcybiskup warszawski, ks. Wincenty Teofil Chościak Popiel, boć podjęli się zadania w wysokim stopniu wprawdzie wdzięcznego, ale też niezmiernie trudnego, wymagającego znajomości rzeczy głębokiej, wielkich mozołów, zabiegów skrętnych i zadanie to wypełnili w całym znaczeniu świetnie. Wystawa chlubę im przynosi. Ks. Arcybiskupowi pomagali wszyscy Pastarze nasi i podwładne im duchowieństwo. Rozwarły się skarbcze kościołów i klasztorów, wydobyto z nich precenne zabytki i dzieła sztuki, rozwarły się też przechowalnie osób świeckich, dostarczając na Wystawę szacownych przedmiotów, ze czcią Maryi związanych. Mamy więc na Wystawie jedyny w swoim rodzaju zbiór, na który złożyły się i prastare katedry, i skromne kościółki wiejskie, i muzea miłośników sztuki. A wśród skarbów wystawowych Jasna-Góra zajmuje miejsce poczesne, bo Jego Dostojność ksiądz Infułat Rejman, nie omieszkiał cząstki nadesłać przechowywanych przez siebie bogactw religijnych.

Wszedłszy na Wystawę, mieszczącą się w górnych salach gmachu Muzeum Przemysłu i Handlu, jesteśmy wprost olśnieni.. Tyle wspaniałości, tyle cudności! W pierwszej chwili nie wiemy, gdzie się obrócić, od czego zacząć zwiedzanie. Ale z kłopotu nas wybawia uprzejmy, serdeczny, stary nasz przyjaciel, ksiądz Hipolit Skimborowicz, który nam łaskawie doręcza pracownice ułożony przez siebie katalog, a nadto ofiaruje się osobiście udzielać wskazań. Skwapliwie korzystamy z jego uprzejmości. On przecież jest duszą Wystawy, każdy przedmiot przez jego ręce przechodził; on każdy umieszczał, w katalogu opisał; on przez kilka miesięcy dniem i nocą nad urządzeniem Wystawy zabiegał: któż tedy nad niego może być lepszym, gruntowniejszym przewodnikiem? Dzięki wskazaniom zacnego przyjaciela, snadnie ogarniamy całość.

Jest przepiękna! Sale wystawowe zdobią chorągwie wystawowe i procesjonalne, nadto witraże, wykonane przez fabryki panów: Białkowskiego, Skibińskiego i Sobolewskiego. Naprzeciw wejścia do sali głównej, na wzniesieniu, odpowiednio przyozdobionem, widzimy natural-

nej wielkości figurę Maryi, dzieło artysty-snycerza, Bogaczyka, po której bokach stoją pełne zbroje husarzy polskich. Cała Wystawa rozpada się na ośm działów. Pierwszy obejmuje — naczynia i aparaty kościelne; drugi — przedmioty dewocyjne; trzeci — zbroje, oręż i orderzy z wizerunkiem Bogarodzicy; czwarty — malarstwo; piąty — rzeźbiarstwo; szósty — sztychy, ryciny, fotografie; siódmy — medale, medaliki, monety i pieczęcie; ósmy — druki.

Do działu pierwszego zaliczono wszelkie przedmioty, używane przy obrzędach i ceremoniach kościelnych, nie dotyczące jednak bezpośrednio czci Matki Bożej, lecz mające na sobie wyobrażenie Jej imienia lub postaci, więc: monstrancye, kielichy, pacyfikały, pastorały, ornaty, kapy, welony, chorągwie procesyjne i tym podobne. Dział to najbogatszy, zajmuje największą część wystawy, zawiera wiele cennych okazów, posiadających wartość artystyczną, pamiątkową, lub starożytniczą.

W drugim dziale zgromadzone są wota, składane przez wiernych na obrazach, słynących cudami lub łaskami, szkaplerze, różańce, relikwiarze, kropielniczki, medaliony i inne przedmioty.

Dział uzbrojeń nie jest liczny, natomiast posiada okazy prześliczne, że tylko wspomnimy orderzy Orła Białego, z imieniem Maryi, z czasów króla Stanisława Augusta i Królestwa Kongresowego, karabele i zbroje husaryi polskiej.

Najwspanialej się przedstawia dział artystyczny, obejmujący malarstwo, rzeźbiarstwo i sztycharstwo. Mamy tu dzieła mistrzów polskich: Matejki, Krudowskiego, Czechowicza, Stachowicza, Fałata, Brunona Pusza, M. Zalewskiego, Majeranowskiego, Buchbindera, Trębickiego; a z mistrzów cudzoziemskich: Alberta Dürera, Kranacha, Raynolda, Jana Belliniego, De la Roche'a, Quintin Metsis'a, Rogera van der Veyde'a, Anibala Carracci, Guida Reniego, Diepola i innych.

Dział druków bogaty. Najciekawszych okazów dostarczyła biblioteka ordynacji Krasińskich.

W dziale medalików, monet i pieczęci mamy około tysiąca okazów, pochodzących przeważnie ze zbiorów panów: Bisiego, Kuczyńskiego i Ślizienia.

Mając pojęcie o całości Wystawy, o jej planie, możemy przystąpić do przeglądu szczegółowego, rozpoczynając od działu uzbrojeń i orderów. Tu na wstępie witają nas dwa proporce: jeden, ze zbiorów ordynacji Zamoyskich, jedwabny na białym adamaszku, z wyobrażeniem na jednej stronie Maryi, okolonej promieniami, a z drugiej herbu Zamoyskich Jelita; drugi ze zbiorów p. Śmiarowskiego (ongi należał do Konfederatów Barskich) z krzyżem kawalerskim, pośrodku którego widnieją pierwsze litery imienia Maryi.

Dalej mamy:

Pół zbroi husarskiej, ze znakiem Sodalistów, wyobrażającym Maryę; pochodzi z XVII wieku, jest własnością p. Soubise-Bisiera.

Takież pół zbroi ze zbiorów ordynacyi Krasińskich;

Dwie całe broje usarskie, z wizerunkiem Maryi, znakiem Sodalistów i krzyżem kawalerskim; wiek XVII, ze zbiorów p. Antoniego Strzałeckiego.

Chłopięcy napierśnik, z wizerunkiem Maryi, naplecznik i blachy do okrycia nóg; wiek XVII, własność p. Kolasińskiego.

Napierśnik zbroi husarskiej, z wizerunkiem Maryi i krzyżem kawalerskim; własność p. Kolasińskiego, wiek XVII.

Takiż napierśnik ze zbiorów ordynacyi Krasińskich.

Dalej mamy ryngrafy:

Wielki, z wizerunkiem Maryi, z drugiej strony Chrzest Pana Jezusa; wiek XVIII, własność księdza Łukasza Janczaka z Siennicy.

Miedziany złożony, z wizerunkiem Maryi, z drugiej strony Ś-ty Józef; wiek XIII, własność p. Kolasińskiego.

Bronzowy złożony, grawerowany, z wizerunkiem Maryi, pod nim herb Jelita, z drugiej strony Święty Józef; wiek XVIII, własność p. St. Strzałeckiego.

Miedziany złożony, z wizerunkiem Maryi; wiek XVIII, własność katedry sandomierskiej.

Miedziany, złożony, grawerowany i malowany, z wizerunkiem Maryi, krzyżem kawalerskim, na którym napis: „Za Boga, Wiarę i Ojczyznę“, z drugiej strony Chrystus na krzyżu, Ś-ty Michał i Ś-ty Antoni; wiek XVIII, własność katedry sandomierskiej.

Miedziany złożony, z Matką Boską i Jezusem na krzyżu; wiek XVIII, własność kościoła w Studziannie.

Miedziany, złożony, z Matką Boską i Jezusem na krzyżu; wiek XVIII, własność kolegiaty pułtuskiej.

Miedziany, złożony, z Matką Boską; u dołu orzeł trzyma wstęgę z napisem łacińskim: „Pod Twoją obronę uciekamy się Ś-ta Boża Rodzicielko“; wiek XVIII, własność p. Kolasińskiego.

Miedziany, złożony, z Matką Boską, Ś-tym Józefem i napisem: „Pod Twoją opiekę“; wiek XVIII, własność klasztoru jasnogórskiego.

Miedziany, złożony, z Matką Boską i dwunastoma Apostołami; wiek XVIII, własność Wincentego hr. Łubieńskiego.

Mały, złożony, z Matką Boską i Ś-tym Antonim; wiek XVIII, własność kościoła parafialnego w Solcu.



Oprócz wymienionych, znajduje się jeszcze ośm, wszystkie miedziane, złożone, z XVIII wieku, z wizerunkiem Matki Bożej, są zaś własnością: kościoła w Skoszewach (na drugiej stronie Chrystus na krzyżu); p. Gałęckiej (z drugiej strony Chrystus na krzyżu, Matka Boża i Śty Jan); p. Kolasińskiego (z boków Śty Józef i Jan Nepomucen, na drugiej stronie Chrystus na krzyżu, Śty Piotr i Śty Jan); księdza Deplewskiego z Barcia (na drugiej stronie Chrystus na krzyżu i Marya Magdalena — pono ten ryngraf nosił Sawa Caliński, konfederat barski, marszałek szlachty zakroczymskiej); p. Leonty d' Amour; wreszcie 3 p. Antoniego Strzałeckiego.

Dalej mamy 23 szkaplerze, z tych 17 z XVIII wieku, 6 z XVII. Są one własnością: p. Pułaskiego (malowany na miedzi, złożony, z Matką Boską i Śtym Janem Kantym); p. Gałęckiej (z takiemiż wizerunkami); p. Kolasińskiego (malowany na miedzi, oprawny w srebro wykuwane złożone, z Matką Boską, Chrystusem na krzyżu, Śtymi: Józefem, Barbarą i Magdaleną); jenerała Chrzanowskiego (w kształcie serca, malowany na srebrze, z Matką Boską, Ukrzyżowanym, Świętymi); cechu bednarskiego w Warszawie (miedziany, złożony nosił go bednarz pewien, który uczestniczył w oblężeniu Jasnej-Góry przez Szwedów, — Matka Boża ma orła na piersiach, orzeł niesie pierścień w dziobie); kościoła parafialnego w Garwolinie (malowany, miedziany, z Matką Bożą i Śtym Antonim Padewskim); p. Kazimierza Jasińskiego (miedziany, złożony, z Matką Bożą i Śtym Janem Ewangelistą, niegdyś należał do Joachima Patka, starosty piotrkowskiego); p. Feliksa Stawowskiego (z Matką Bożą i Śtym Antonim); p. M. W. Kuczyńskiego (z Matką Bożą i Śtym Franciszkiem Serafickim); p. Franciszka Kraszewskiego z Dołhego (malowany, mosiężny, z Matką Bożą, Śtym Antonim); p. Kolasińskiego (Marya z Dzieciątkiem, Chrystus na krzyżu); kościoła w Skoszewach (malowany, miedziany, złożony, z Matką Bożą, Zaślubinami Jej); p. Władysława Bączyńskiego (z Matką Bożą i Chrystusem w cierniowej koronie); p. Antoniego Strzałeckiego (Matka Boża Kodeńska, Ści: Floryan, Bartłomiej i Katarzyna); p. Bogusława Kraszewskiego (srebrny, składany, z Matką Bożą, Jezusem na krzyżu, pod którym znów Matka Boża i Śty Jan); kościoła w Będkowie (malowany, miedziany, z Matką Bożą i Opatrznością); państwa Montwiłłów z Wojewodziszek (miedziany, Matka Boża, Chrystus na krzyżu); J. E. ks. biskupa Kulińskiego (miedziany, złożony, z Matką Bożą); p. Kaczkowskiego (miedziany, z Matką Bożą); p. Soubise-Bisier (na miedzi złożonej, z Matką Bożą i Śtą Anną); p. Pawłowskiego (z Matką Bożą i Przemienieniem Pańskim); ordynacyi Krasińskich (w kształcie serca, z Matką Bożą, Śtym Józefem, piastującym Dzieciątko); p. Rybarskiej z Kielc (z Matką Bożą Gidelską, okrywającą płaszczem zakonników).





Kompania z Raszowy, z Górnego Śląska, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „I



Szable mamy trzy:

Rusińska z XV wieku, z wizerunkiem Bogarodzicy z Dzieciątkiem, po bokach Aniołowie, u dołu dwie gromnice i lilia, wszystko nabijane złotem, własność p. Antoniego Strzałeckiego.

Węgierska z XVII wieku. Rękojeść w kształcie lwa, srebrna, połączana; na głównicy wizerunek Maryi, z boku napisy łacińskie i węgierskie; własność p. Kolasińskiego.

Z głównią damasceńską, zdobną wizerunkiem Maryi z Dzieciątkiem i napisem: „Stąd wedle ciebie tysiąc głów poleże, stąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże. R. Pańskiego 1661“, wszystko nabijane złotem. Okucia pochwy srebrne, w czarne desenie. Własność ordynacyi Zamoyskich.

Dalej oglądamy pas sodalisowski, jedwabny, haftowany, z klamrą srebrną, połączaną, na której wizerunek Maryi; wieku XVII, własność p. Kolasińskiego.

Dalej mamy 16 obrazków polowych, z XVII i XVIII wieku, nadesłanych przez: ks. Wojciecha Gniazdowskiego z Brdowa — nad wizerunkiem Maryi napis: „Bogarodzica Dziewica“; p. Piechowską — Matka Boża z Dzieciątkiem w srebrnym obramowaniu, Jezus na krzyżu, pod nim Marya i Ś-ty Jan; p. Cypryana Apanowicza z Dziankówki — malowany na miedzi, Matka Boża, Ś-ty Wojciech; Jana hrabię Moszyńskiego z Sojek — na miedzi Matka Boża i Ś-ta Jadwiga; p. Rapackiego z Pilczyc — Matka Boża, Jezus na krzyżu; p. Henryka Ślizienia — Matka Boża, dwunastu Apostołów, Ś-ty Kazimierz; p. St. Zawadzkiego — miedziany, złożony, z Matką Bożą i Pokłonem Trzech Króli; ks. Polikowskiego — miedziany, złożony, z Matką Bożą i Ś-tym Franciszkiem; ordynacyi Zamoyskich — miedziany, złożony, z Matką Bożą i Ś-tym Antonim; p. Justynę Kamińską z Podębic — miedziany, złożony, z Matką Bożą; p. Edmunda Sadowskiego — miedziany, złożony, z Matką Bożą i Opatrznością; p. Strzałeckiego — miedziany, złożony, Matka Boża w obłokach, Pan Jezus, jako dobry Pasterz; p. Kolasińskiego — miedziany, złożony, Matka Boża, Chrystus na krzyżu, pod krzyżem Matka Bolesna i Ś-ty Jan; p. Przyłubskiego z Kąt — Matka Boża i Jan Ś-ty; ks. Polikowskiego — Matka z Dzieciątkiem i Ś-ty Józef; p. Plewińskiego — Matka Boża i Ś-ty Stanisław.

Mamy wreszcie w tym dziale:

Wstęgę i order Kanoniczki bawarskiej Rytty Ślizieniównej, ofiarowany jej przez króla bawarskiego w r. 1879. Na orderze Niepokalane Poczęcie. Własność p. Henryka Ślizienia.

Order hiszpański Karola III, z wyobrażeniem Niepokalanego Poczęcia, ofiarowany przez królową hiszpańską Izabelę II w r. 1858 p. Ludwikowi de Vidal.

Odznakę kanoniczną sandomierską — z jednej strony Niepokalane Poczęcie, z drugiej Orzeł Biały. Krzyż emaliowany z łańcuchem. Własność katedry sandomierskiej.

Krzyż orderu Orła Białego, z literami Bogarodzicy, na szarfię błękitnej. Wiek XVIII, własność p. Strzałeckiego.

Takież 2 krzyże, jeden ze zbiorów ordynacyi Krasińskich, drugi zaś p. Kolasińskiego.

Przechodzimy do działu naczyń i sprzętów kościelnych,—tu przegląd rozpoczynamy od monstrancyj, których nadesłano 18, mianowicie:

Kościół w Godzianowie — srebrną, z 1588 r. z figurą Maryi; dar Aleksego Alberta Zbroi, proboszcza warszawskiego.

Kościół w Drozdowie — srebrną, pozłacaną, gotycką, w wieżyczce Matka Boża w promieniach; wiek XIV, dar Mikołaja Krasławskiego, Mansyonarza krakowskiego.

Kościół w Radzyminie — srebrną, gotycką, z XVI wieku. Pod wieżyczką Matka Boża, niżej Ś-ci Roch i Stanisław.

P. Kolasiński — srebrną, w części złoconą, z XVI wieku. U góry Matka Boża w promieniach, niżej Ś-ci Wojciech i Stanisław.

Kościół Ś-go Pawła w Sandomierzu — srebrną, złoconą, z XV w., z Matką Bożą w promieniach, obok Niej dwóch biskupów.

Kościół w Makowie — srebrną, złoconą, z r. 1621. Matka Boża, Ś-ci Stanisław i Wojciech.

Kościół w Radzanowie — srebrną, w części złoconą, gotycką, dar Jana Karwowsiusa z 1638 r. Matka Boża, obok Ś-ci Stanisław i Wojciech.

Katedra wileńska — złotą, emaliowaną, szmaragdami, rubinami, szafirami i dyamentami wysadzaną, z Matką Bożą, trzymającą dwie gałązki winogrodu, liście i grona emaliowane, z herbem Leliwa, biskupa wileńskiego Jana Tyszkiewicza, z r. 1649.

Kościół w Brzezinach — srebrną, złoconą, z herbem Dołęga i literami L. P. B., z r. 1653. W wieżyczce Matka Boża w promieniach, obok Ś-ci Stanisław Kostka i Kazimierz.

Kościół po-Dominikański warszawski — srebrną, złoconą, wysadzaną drogiemi kamieniami, emaliowaną, z XVIII w. Figura Niepokalanego Poczęcia.

Kościół Ś-go Krzyża warszawski — srebrną, złoconą, drogiemi kamieniami i emalią zdobną, z XVII w. Na podstawie wizerunek Matki Bolesnej.

Kościół w Radziwiu — srebrną z XVIII wieku. Na filarze Matka Boża, na ramionach Ś-ci Apostołowie Piotr i Paweł

Kościół w Żdżarach — srebrną, złoconą, z XVIII w., Matka Boża w koronie, obok dwaj Aniołowie.



P. Roszkowski — srebrną, kamieniami sadzoną, z XVIII wieku. Na podstawie Niepokalane Poczęcie.

Kościół w Poddębicach — z XVIII w., z herbem Rawicz, ofiarodawcy Jana Chryzostoma Gierzkowskiego, kanonika uniejowskiego. Na filarze Matka Boża, na ramionach dwaj Święci.

Kościół w Trokach — srebrną, w części złoconą, zwaną Witołdowską, z prześlicznym emaliowanym ornamentem, zdobnym drogiemi kamieniami. Na szczycie krzyż i Bóg Ojciec, niżej orzeł, wysadzony kamieniami; pod melchizedechem Matka Boża w obłokach. Na podstawie Matka Boża Trocka. Wiek XVIII.

Kościół w Słupi — srebrną, złoconą, z XVIII w., z Matką Bożą i dwoma Świętymi.

Fabryka Norblina, Braci Buch i Wenera — srebrną, złoconą, nowocześnie, z Matką Bożą, Chrystusem na krzyżu i Ś-tym Janem.

Z kolei oglądamy 19 kielichów mszalnych, nadesłane przez: p. Kolasińskiego (okazów 7, z XIV, XV i XVII wieków, bardzo cennych); przez kościoły w Borysławicach, Chorzelach Ś-go Pawła w Sandomierzu, w Lubrańcu, w Poddębicach, katedralny wieluński (wielki, srebrny, w części złocony, z bogatemi ozdobami wypukłemi, z których 12 stanowią wizerunki z życia Jezusa; w emalii postacie Jezusa, Matki Bożej i Świętych; dar Michała hrabiego Tyszkiewicza); katedralny sandomierski (2 okazy — jeden, ofiarowany przez kardynała Ledóchowskiego, złocony, z wizerunkami Matki Bożej i patryarchów; drugi, ofiarowany biskupowi Sotkiewiczowi przez biskupów polskich, srebrny, złocony, z emalią przezroczystą, z Matką Bożą, Jezusem i Ś-tymi); przez kościół w Kueszach, warszawski Ś-go Augustyna i przez fabrykę Norblina, Braci Buch i Wenera.

Dalej widzimy przysłany przez kościół w Trokach pacyfikał srebrny do drzewa Krzyża Ś-go, z figurą Matki Bożej na podstawie; przez p. Kolasińskiego krzyż procesjonalny z XIV w. (miedziany, połączany: w środku Chrystus, na ramionach Matka Boża i Ś-ty Jan, u góry pelikan karmi pisklętą, na odwrotnej stronie Matka Boża i czterej Ewangeliści); przez p. Władysława Ryksa takiż krzyż z XV w.; przez ks. prałata Chodyńskiego z Włocławka pastorał z XII w. (zdobny wizerunkiem Matki Bożej, Chrystusa, wysadzany kamieniami); przez katedrę sandomierską — pastorał ksieni Benedyktynek sandomierskich, z XVI wieku.

Krzyże-słupy ornatów nadesłali: p. Szpadkowski, z XIII w.; ks. prałat Szaniawski trzy okazy: z XIV wieku, z wizerunkami Matki Bożej, Ś-tych Elżbiety, Jadwigi, Barbary, — haft złotem i pelami; z XV wieku, haft, złotem i pelami, wyobraża Matkę Bożą Bolesną i Łaskawą, Chrystusa sądzącego w majestacie; na okazie trzecim z XV w. wyhaf-

towane są obrazy z życia Bogarodzicy; p. Kolasiński — 2 okazy z XV wieku; seminaryum wrocławskie — okaz haftowany wypukło na srebrnej siatce pelami, haft zaś wyobraża Boga Ojca, niżej Chrystusa na krzyżu, pod krzyżem Bogarodzica, Ś-ty Jan, Ś-ta Magdalena, po bokach Ś-ci Piotr i Paweł; katedra w Kielcach — okaz z XV wieku.

Ornatów nadesłano wiele i to bardzo cennych. Więc katedra sandomierska zaprezentowała: zielony, z XVI wieku, z Panem Jezusem i Matką boską; czerwony, z XVII w., z takimiż wizerunkami (haft na tle złotem); fioletowy, z XV w., z Matką Bożą, Ś-tą Katarzyną i Ś-tą Barbarą.

Kościół w Kłobucku — ornat czerwony, aksamitny, z XV w., haft słupa na tle złotem. Z wizerunkiem Chrystusa na krzyżu, wyżej kardynał, przy ramionach krzyża Papież i biskup, niżej Matka Boża i Ś-ty Jan; na odwrotnej stronie herb Wieniawa.

P. Soubise-Bisier — ornat z XV w., haft wypukły przedstawia Chrystusa na krzyżu, obok Matkę Bożą, Ś-tych Jana, Piotra i Pawła.

P. Strzałecki — ornat czerwony, z XV w., z wizerunkami Boga Ojca, Chrystusa, Matki Bożej, Ś-tych Jana, Pawła, Piotra i Michała.

Seminaryum we Wrocławku — ornat czerwony, aksamitny, z XVI wieku, haftowany złotem i pelami.

Ordynacya Zamoyskich: ornat czerwony, z XVI w., słup ze srebrnej i złotej koronki; ornat biały, rypсовy, sutoszem haftowany, z XVII w.; ornat z materyi złotem przetykanej, w różnobarwne kwiaty, z XVIII wieku.

Jasna-Góra — ornat z XVII wieku, z czerwonego aksamitu, z haftem wypukłym, złotym, z wizerunkiem Niepokalanego Poczęcia, pod koroną, trzymaną przez Aniołów. Ozdoby z perełek i szkiełek.

Kościół w Bogoryi — ornat z XVI w., biały, z wyobrażeniem Matki Bożej, u dołu herb Dołęga.

Dawny klasztor Bernardynek, dziś Felicjanek, w Prasnyszu: ornat z XVII w., biały, haftowany, obrazy, jedwabiami tkane, przedstawiają zdarzenia z życia Ś-go Franciszka, u dołu Matka Boska Anielska; drugi z XVII w., czerwony i biały, hafty wyobrażają tajemnice Różańca Ś-go; kapa z XVII w., czerwona, na kapturze białym wizerunek Matki Bożej.

Kościół Panien Wizytek warszawski: ornat z XV w., z haftem wypukłym, złotem i pelami, boki z lamy srebrnej, na słupie Ś-ty Kazimierz; ornat z XVII w., aplikowany srebrem, złotem, pelami — Matka Boża na globie, złotą koronką otoczona; kapa z XVII w., biała, haftowana złotem i pelami, na kapturze serce Maryi; kapa nowoczesna z kapturem i kołnierzem o tle srebrnym, na kapturze imię Maryi, haft ścięgiem go belinowym wykonany.

Kościół w Jeżowie — ornat z XVII wieku, boki lite, srebrne. w spięciu ramion haft kolorowy, jedwabny, wyobrażający Tróję Ś-tą, inne hafty wyobrażają Matkę Bożą, Ś-go Józefa i Ewangelistów.

Kościół Matki Bożej Łaskawej w Warszawie: ornat z XVII wieku, haftowany na lamie srebrnej, z wizerunkiem Wniebowzięcia, Ś-go Józefa i biskupa klęczącego, — na drugiej kolumnie Ś-ta Anna z Matką Boską, u dołu herb Łabędź; ornat z XVII w., z wizerunkiem Najświętszej Panny na globie, z wężem w otoczeniu Aniołów.

Ornaty katedry wileńskiej: złoty nowoczesny, na słupie naszyta bursa z Matką Boską, ale haft płaski, na tle złotem, perełkami naszywany, pochodzi z XII w.; ornat z XVII w., biały, o srebrnym tle, złotych haftach, wyobrażających Boga Ojca, Duch Ś-go i Matkę Bożą; ornat z XVII w., cały srebrem i złotem haftowany, z Matką Bożą, Ś-tym Kazimierzem i herbem Dunin.

Kościół w Obrazowie — ornat z XVII w., czarny, złotem i srebrem haftowany, z wyobrażeniem Maryi i Dzieciątka w kwiecie róży. Klasztor Ojców Dominikanów w Gidlach — kapa z XVII w., atlasowa, biała, haft złoty, na kapturze wyobrażenie Zwiastowania Najświętszej Panny.

Kościół Ś-go Piotra i Pawła, warszawski — ornat na białej lamie, z Matką Bożą i Ś-tym Franciszkiem Serafickim.

Kościół w Krzychówku — ornat z XVII wieku, haft kolorowymi pelami, srebrem i złotem, wizerunek Bogarodzicy z Dzieciątkiem, na drugiej stronie, Ś-ta Barbara.

Kościół po-Pauliński w Warszawie — ornat z XVII w., haft pelami i złotem, wizerunek Matki z Dzieciątkiem na globie.

Kościół Sakramentek, warszawski — ornat z XVII w., haftowany sztoszem na złotej i srebrnej lamie, dar króla Jana Sobieskiego; z wizerunkiem Matki Bożej, z herbem króla Janiną i z herbem jego małżonki.

Kościół w Wielkopolu — ornat z XVII wieku, biały, z wizerunkiem Maryi, zdobny drogiemi kamieniami, koralami i perłami.

Katedra kielecka: ornat z XVII w., fioletowy, z Niepokalanem Poczęciem, Chrystusem na krzyżu, u dołu postacie potępionych; ornat XVII w., słup pelami haftowany, z wizerunkiem Maryi i Ś-go Józefa; ornat szkaplerzny z XVIII w., haftowany supełkami, z herbem Leliwa.

Kościół katedralny w Kamieńcu-Podolskim — ornat z XVIII w., niebieski, z wizerunkiem Maryi na globie, na drugiej stronie Baranek i krzyż z wężem Mojżesza.

Kościół w Wornianach — ornat z XVIII w., biały, z wizerunkiem Maryi i Ś-go Franciszka; ornat nowoczesny, na kanwie wyszywany, z wypukłemi kwiatami.



Kościół w Brdowie — ornat z XVIII wieku, haftowany sutosem, z wizerunkiem Maryi na globie, obok pierwsi rodzice przy Drzewie Życia, u dołu herb Ojców Paulinów.

Kościół w Skarżysku — ornat z XVIII w., biały, haftowany łańcuszkiem, z wizerunkiem Maryi, z drugiej strony biskup przy krzyżu.

Kościół w Cygowie — ornat nowoczesny, biały, haft pelami z wizerunkiem Boga Ojca, Ducha Ś-go i Maryi.

Ks. prałat Skarżyński — ornat biały, haftowany, z wizerunkiem Maryi.

Kaplica szpitala Ś-go Rocha w Warszawie — ornat nowoczesny biały, haft pelami i złotem, z Matką Boską Ostrobramską na atłasie.

Kościół w Goworowie — ornat nowoczesny biały, z wizerunkiem Maryi.

(D. c. n.)

---

**Z Łukowa, diecezji Siedleckiej** Złośliwy tyfus zabiera tu wiele ofiar. Oprócz lekarza szpitalnego ś. p. Antoniego Tryjarskiego, pochowaliśmy tegoż samego dnia Siostrę Miłosierdzia, 23 lat wieku liczącą, ś. p. Wiktoryę Buchalską. Korzystając ze zniesienia przez Najwyższy Ukaz tolerancyjny różnych ograniczeń przez Jenerał-Gubernatorów do tutejszej gubernii wprowadzonych, pochowaliśmy ową Siostrę w liczniejszym gronie kapłanów. Nad grobem przemówił o wzniosłem powołaniu Szarytki ks. Del Campo Scypio. Tem więcej ta przemowa była wzruszającą, że i druga Siostra Miłosierdzia również z powodu pielęgnowania chorych zakaźnych walczy ze śmiercią. Pozostałe Siostry są wyczerpane nadmierną pracą, a Matka Wizytatorka, proszona o przysłanie nowej pracownicy, odpowiedziała: „*Nie mam kogo posłać*”.

Czyżby już wśród naszego katolickiego społeczeństwa zamierał duch ofiary i poświęcenia?

Warto, żebyśmy pobudzali dusze czyste, szlachetne do służenia Chrystusowi przez poświęcenie się dla chorych i ubogich. Ileż panien ze średnim wykształceniem biedzi się z sobą, nie wiedząc jaką obrać w życiu drogę. A tu tak prosta droga, tak wzniosły cel życia! Rozumie się, że tylko dla dusz gorącą wiarą ożywionych ten cel jest pojętny.

Jeden Bóg i pewna tylko częśćka społeczeństwa wie o tem, ile dobrego czynią dla ludzkości Szarytki, czyli Siostry Miłosierdzia, których zadaniem jest nieść pomoc ubogim chorym. W kraju naszym zgromadzenie tych córek Ś-go Wincentego jest jedynem, żyjącem w czasach





Ochronka dla dzieci we wsi Trembki, pod Żychlinem.



naszych zgromadzeniem żeńskim, gdzie się praktykuje prawdziwie rozumiana miłość Boga i bliźniego, gdzie modlitwa połączona jest z pielęgowaniem chorych czyli z pracą.

Praca tych słabych istot jest bardzo uciążliwą dlatego, że ludność wciąż wzrasta i wraz z nią choroby się mnożą, a zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia wcale się nie powiększa.

Wstępują wprawdzie do zgromadzenia tego nieliczne jednostki, ale są to zaledwie krople w morzu wobec potrzeb społeczeństwa. A śmierć nieubłagana zabiera nietylko pasożytów społeczeństwa — ludzi żyjących bez celu, ale powołuje także, a nawet bardzo licznie i te, które są chlubą społeczeństwa naszego — aniołami, niosącymi pomoc ubogim chorym.

Uczestnicząc w pogrzebie Siostry Miłosierdzia ś. p. Wiktorii Buchalskiej, zmarłej w Łukowie, gub. Siedleckiej, przyszło mi na myśl pytanie, dlaczego zgromadzenie z tak wzniosłym i pięknym celem, do którego dążą Siostry Miłosierdzia, jest tak nieliczne, że nawet takie miasta, jak Łódź, nie mogą dostać Szarytek? A ileż tu dla nich byłoby zajęcia?! Jeżeli bowiem miasta z 20,000 ludnością potrzebują najmniej po 4 Szarytki, to cóż powiedzieć należy o Łodzi z półmilionową liczbą mieszkańców?

Otóż nieliczne zgromadzenie cór Ś-go Wincentego à Paulo jest smutną charakterystyką kobiet naszych, które skłonne są niby do pobożności, a brak im zaparcia się i miłości Boga i bliźniego.

Kandydatek, które się zgłaszają i proszą o przyjęcie do zgromadzenia trafia się, nawet bardzo wiele. Ale niestety, już w pierwszej próbie zrażają się trudnościami i cofają się przed pięknym i wzniosłym celem — służenia Panu Bogu i bliźniemu. Zapominając widocznie o tem, że miłość Boga i bliźniego jest fundamentem, na którym zawisł cały zakon Chrystusów,

Wobec tego, córki chrześcijańskie, które chcecie prawdziwie służyć Panu Bogu i bliźniemu, poznajcie, czem są Szarytki i nie pozwólcie, aby ta niwa w społeczeństwie naszym odłogiem leżeć miała!

*ks. Fr. B.*

**W imię miłości bliźniego.** Działwa i młodzież — to przyszłość każdego narodu. Rozumieją to ludzie rozumu i serca, a rozumiejąc, starają się, aby dać oświatę maluczkiemu. Cześć im za to i błogosławieństwo Boże, bo czynią dobrze w imię miłości bliźniego. W dobrach Trembki, pod Żychlinem, p. Witold Radziszewski założył ochronę dla dzieci, powierając kierunek jej p. Antoninie Kolczykowskiej. Od dwóch lat korzysta z opieki i nauki w tej ochronie przeszło 50 działwy, ucząc się poznawać Boga i kochać bliźniego.

Z okazji 50-letniego jubileuszu ogłoszenia w roku zeszłym dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Matki Boskiej, wierni całego świata starali się różnemi sposoby wyrazić przywiązanie do Ś-go Kościoła rzymskokatolickiego i jego Głowy widzialnej Ojca Ś-go Piusa X. — Miło nam zaznaczyć, że parafianie Wilczyna, dekanatu Słupeckiego, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, razem z wikaryuszem tej parafii księdzem Henrykiem Nowierskim pospieszyli także wyrazić Jego Świętobliwości uczucia synowskiego przywiązania i zarazem przestali Ojcu Ś-mu przez pośredni-

*Dilecte fili;*

*Dum te certiorum facimus Nos  
literarum a te fidei d. 10 mensis ianuarii  
Nobis datam una cum quinquaginta  
Rublis tuiam a tui Parochiani obla-  
tis jam accepisse, grati animi et  
benevolentiae Nostrae testem, Tibi;  
Dilecte fili, et unctis fidelibus tuae  
curae spiritualis committimus Apostoli-  
cam Benedictionem peramanter im-  
pertimus.*

*Ex Aedibus Vaticanis  
die 29 Octobris 1904*

*Pius PP. X.*

*Dilecte fili  
Sac. Henrico Nowierski*

Kopia własnoręcznego listu Ojca Ś-go Piusa X-go.

ctwo kardynała Respighi wikarego jeneralnego skromną ofiarę pieniężną (50 rubli).

Jakże wielką radością napełniły się serca pobożnych parafian wilczyńskich, gdy odebrali list od Ojca Ś-go, pisany Jego własną ręką, w którym przesyła im błogosławieństwo apostolskie. List ten, po łacinie pisany, podajemy w oryginale. Jest on dowodem wielkiej dobroci w obcowaniu z wiernymi Ojca Ś-go Piusa X — i przypomina nam czasy apostolskie, kiedy między pierwszymi chrześcijanami a apostołami i Głową Kościoła naszego panował stosunek szczerzej i miłej prostoty ewangelicznej. Niech Bóg Wszechmogący w Trójcy Jedyny rozpala



w duszach naszych te iskry pierwotnej miłości chrześcijańskiej pochodzące ze zrozumienia dobrego wiary świętej Chrystusowej!

**Z okolic Koniecpola, powiatu Noworadomskiego.** W dniu 20 maja po południu nawiedziła nas burza z gradem i piorunami — nieszczęściu temu uległa wieś Rodoszownica. Grad w tej dużej wiosce na przestrzeni 300 morgów zniszczył wszystkie zasiewy — a głównie oziminy, które zniszczone zostały zupełnie. Dodać należy, że w jednym roku woda im wszystko zalała, w drugim słońce spaliło, wreszcie nawiedził pożar, a obecnie gradobicie. Rozpacz tamtejszych gospodarzy jest straszna.

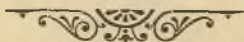
Może znajdują się serca litościwe, które przyjdą z pomocą tym biedakom, składając ofiary na ręce Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“

**Z Charbina.** Szanowny księże Redaktorze! Z dalekiego Wschodu piszę tę parę słów, zalecając uwadze Szanownego ks. Dobrodzieja tę modlitwę do Matki Boskiej, napisaną przez chorego żołnierza o naszym szpitalu warszawskim. Wzruszającym jest, jak ci biedacy całym sercem zwracają się do Boga i Największej Panny — można się zbudować, jak gorąco modlą się ze łzami! Żołnierz Sroka wyjątkowy ma dar poezyi, prozą, poprostu nie umiając pisać. Nawet kolegom listy pisuje wierszami. Szkoda, że nie ma żadnego wykształcenia, ale jest bardzo pojętny i chętnie słucha wskazówek co do pisowni. Ten wiersz posyłam wprost przez niego napisany, bez żadnych poprawek. Nie wiem, może to zainteresuje Szanownego ks. Dobrodzieja i skorzysta dla „Dzwonka Częstochowskiego“ ze stosownymi zmianami. Jeśli zaś niepotrzebnie zajęłam czas Szanownemu ks. Dobrodziejowi, to najmocniej przepraszam. Proszę J. E. ks. Przeorowi oświadczyć nasze uszanowanie i podziękowanie za błogosławieństwo, jakim nas obdarzył na tę daleką drogę — a tak szczęśliwie, że jak dotąd żadnych przeciwności ani braku jeszcze nikt w szpitalu nie doznał. Jak dalej będzie, nie wiadomo, bo wojna zbliża się do Charbina.

Polecając się świętym modlitwom przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej z całym naszym szpitalem, pozostaję z najgłębszym szacunkiem niegodna służąca

*S. Jakóbina,*  
Siostra Miłosierdzia.

Szpital Warszawsko-Łódzki w Starym Charbinie.



## Módlmy się!...

(wiersz, ułożony przez chorego żołnierza  
w szpitalu charbińskim).

---

O, Częstochowska nasza Królowa,  
Matko nieustającej pomocy,  
Zawsze z pomocą jesteś gotowa,  
W dzień świecisz słońcem, księżycem w nocy.

Patrzac na wizerunek obrazu Twego  
I serce żywiej bić mi się zdaje,  
Bo w Twym obrazie spokój każdego,  
Gdy kto stroskany przed Tobą staje.

Na swoim łonie Syna piastujesz,  
Na lud wpojone czule Twe oczy;  
Zawsze za nami Ty orędujesz  
I nie odmawiasz swojej pomocy.

Gdy spojrzę w obraz, na święte lica  
Wszystkie ciężary z serca spadają,  
Bo tak łaskawie patrzy Dziewica  
Na tych, co pod płaszcz Jej się udają.

Przyjmij o, Matko, stroskane dziecię,  
Padam przed Tobą łzami zalany;  
Nie dopuść ginać na marnem świetle,  
Niech będę Tobie całkiem oddany.



O, Pani, Matuchno nasza!





Niech jasność Twoja nad nami świeci,  
Będziem bezpieczni we dnie i nocy,  
Tyś nam jest Matką, my Twoje dzieci,  
O, Matko nieustającej pomocy!

Ten wyraz słodki, Matuchno nasza,  
Że nieustannie jesteś pomocą,  
Wszystkie nam bóle w sercu ugasza,  
Które jak robak nam serca toczą.

Do Ciebie, Matko, się uciekamy.  
Boś Ty podporą naszej niemocy,  
Ze łzami w oczach Ciebie błagamy,  
O, nie odmawiaj nam swej pomocy!

Pomagaj w pracach, pomagaj w znojach,  
Miej nas w opiece we dnie i w nocy,  
Ocal nam braci w tych krwawych bojach,  
O, Matko nieustającej pomocy!

Tych, co już dusze na Boskim sądzie,  
Niech znajdą pokój przez Twą przyczynę,  
Niech Bóg litościw nad nimi będzie,  
Przyjm ich do nieba, daj odpocznienie!



# NIE ZABIJAJ!

## Niektóre przyczyny pijaństwa.

Nie ulega wątpliwości, że klimat wywiera wpływ na rozwinięcie się pijaństwa. Atmosfera zimna, a zwłaszcza wilgotna, działając na system nerwowy podniecająco, pobudza do pijaństwa. Zaobserwowano, że mgliste niebo Anglii i jej wilgotne powietrze, bardzo usposabia do pijaństwa, gdy tymczasem pod jasnym niebem włoskiem nie znajduje dla siebie gościny. Dr. Kerr zauważył, że Włosi, nie używający alkoholu do 30 lub do 40 roku życia, po przesiedleniu się do Anglii zostawali pijakami.

Brak oświaty i nizki poziom cnoty i moralności sprzyja pijaństwu. Człowiek, nie mający żadnych wyższych dążeń, żyjący tylko z dnia na dzień, nie przewidujący przyszłości, ani rozumiejący własnego interesu, w trunku szuka tego szczęścia i zadowolenia, którego sam nie może znaleźć. Moralne życie takiego człowieka jest ciemne i zagłuszone, przyszłość jego bez troski i nadziei; w życiu nie znajduje ani żadnej podpory, ani zadowolenia, — szuka więc tego w kieliszku.

Wpływ na pijaństwo wywiera i rodzaj pracy. Dzisiejsza walka o byt, drażniąca nerwy ogółu i nadmiar pracy, każe szukać wyczerpanemu organizmowi nowych sił do pracy w ciągłym podsycaniu go alkoholem. Coraz większy niedostatek wśród klas robotniczych, trudność wyżywienia się skłania robotnika, że kieliszek wódki służy mu za rozgrzewający napój od samego rana, co fatalnie wpływa na zaciągnięcie nałogu pijaństwa. Trzeba przyznać, że bieda często jest nie tylko skutkiem, ale i przyczyną pijaństwa.

Niema też wątpliwości, że pewne zajęcia, dając okazję do kieliszka (poczęstunki), są przyczyną pijaństwa, jako to: kupcy, szynkarze, komisarjusze.

Jak nadmiar pracy, tak nierównie więcej próżniactwo, będąc przyczyną wszelkiego złego, sprzyja pijaństwu. Próżność ducha i próżniactwo ciała zabijają czas przy kieliszku. Długich dni próżniaczych nie przetrwa człowiek w samotności, idzie więc szukać kompanii. Nieszczęsne towarzystwo iluż nauczyły pijaństwa!

Przykład i naśladownictwo — to jedna z głównych przyczyn pijaństwa. Iluż to ludzi głęboko przekonanych, że bez kieliszka niema życia towarzyskiego, niema zabawy, ani uciechy. To też powodów nie brak do picia. Pijemy, gdy się spotykamy, gdy się rozstajemy; pijemy, gdyśmy syci. Słowem — wszystko nam nastęrcza trunek: wesele i frasunek, zimno i gorąco, senność i bezsenność... Tym sposobem coraz bardziej organizm przyzwyczajamy do alkoholu.

Możnaby wskazać jeszcze inne przyczyny pijaństwa, pomijamy je jednak, jako więcej indywidualne; ogólnie można powiedzieć to, że każdy niemal stan, każde zajęcie dostarcza przyczyn i okazji do pijaństwa.

Pisząc o pijaństwie, nie możemy pominąć skutków, jakie wynikają z tego nałogu.

Zobaczmy, co Pismo święte mówi o tem występku; z pomiędzy wielu tekstów przytoczymy tylko niektóre. W przypowieściach ostrzega Bóg: „Nie bywaj na biesiadach pijaniców... bo którzy się pijaństwem bawią i którzy się składają, zniszczają.“ (Przyp XXIII, 2). Przez Izaasza Bóg grozi: „Biada, którzy wstajecie rano, abyście się opilstwem bawili“... (Iz. V, 11). „Nogami zdeptana będzie korona pychy pijanych“. (Iz. XXXIII, 1). Przez proroka Ozeasza Bóg mówi: „Wino i pijaństwo odejmują serce.“ (Oz. IX, 11). Przez usta ś-go Pawła Apostoła straszny wyrok Bóg wydaje na pijaństwo: „Pijaństwa, biesiady i tym podobne, o których powiadam wam, iż którzy rzecz czynią, Królestwa Bożego nie dostąpią.“ (Do Galat V, 21). Brzydzi się więc Bóg pijaństwem, które zabija ciało, a duszę na wieczne potępienie oddaje.

Posłuchajmy teraz, co mówi o pijaństwie np. ś-ty Augustyn: „Pijaństwo jest wszystkich grzechów matką, początkiem występków i zbrodni, osłabieniem głowy, przewrotem rozumu, zapomnieniem języka, przepaścią czystości, zabiciem czasu, odarciem sławy, zepsuciem obyczajów, skróceniem życia i zabójstwem duszy“ (ad SS. Virg.). Ś-ty Bazyli pijaństwo nazywa przeklętą matką, która rodzi nędzę, ubóstwo i wiele chorób.... Pijaństwo rujnuje siły, sprowadza przedwczesną starość i śmierć.

Platon, filozof, radzi uczniom swoim dla obrzydzenia pijaństwa przejść się po upiciu w zwierciadle, a chyba przestanie być człowiekiem, jeżeli sam siebie i pijaństwa nie obrzydzi i twierdzi, że pijaństwo jest najłatwiejszymi torturami do wyciśnięcia z ludzi wszelkiej prawdy i najgłębszych tajemnic. (Fulg. l. 7, c. 1.). Arystoteles mówi: „Więcej ludzi poginęło od pijaństwa niż od miecza“ (L. II *ethic.*). Pytagoras: „dla zdrowo rozsądnych ludzi pijaństwo jest rozmyślaniem chorego głupstwa.“ Horacyusz pijaka nazywa własnym krwiożercą, a mędrzec Seneka — zgniłym grobem rozumu.

Ludzie jednak starożytni nie mogli mieć ani wyobrażenia o straszliwym spustoszeniu, jakie sprawia nowoczesne pijaństwo. Dla tego posłuchajmy raczej, co pisał kardynał Manning o niem, który starał się poznać w życiu całą jego okropność. „Czy jest, mówi on, występek inny, który co rok najmniej 60,000, podług innych podwójną liczbę ludzi życia pozbawia i posiew zostawia dla całej gromady chorób zabójczych? Czy jest występek inny, który do domów waryatów dostarcza trzecią część, a 70% zbrodni bezpośrednio lub pośrednio powoduje; występek który wywołuje cały niewidzialny świat nieszczęść moralnych wszelkiego rodzaju, których oko ludzkie dostrzedz niezdolne; występek, który wśród największego bogactwa wywołuje najnędźniejszą głupotę, co spycha wszystkie stany i klasy, od najwyższych do najniższych, ludzi wielkiego wykształcenia i wysokiego stanowiska? Czy jest złe, które sprowadza tyle nieszczęść do domu, w pracy, w fabryce, do tylu rodzin; złe, które przemysł osłabia, koleje i okręty w niebezpieczeństwa spycha, a nadto całą tę zarazę przenosi na inne miejsca?“

(D. c. n.)





## Książki nadesłane do Redakcyi.

---

*Tomasz à Kempis.* — **Sam na sam z Bogiem.** Spolszczył ksiądz Antoni Chmielewski M. Ś. T. Warszawa 1905 r.

---

**Król Jan Sobieski**, wedle J. I. Kraszewskiego, opracował Stefan Gębarski. Broszurka ozdobiona licznymi ilustracyami, opiewa dzieje przelatywnej bitwy pod Wiedniem. Nakład Niemiry.



Redakcja „Dzwonka Częstocowskiego”

dla swych prenumeratorów na rok 1905  
oprócz premium

# Album Pamiątkowe budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie

ofiaruje jeszcze **drugie dodatkowe premium:**

## „KSIĄŻKĘ DO NABOŻEŃSTWA”

zawierającą piękne dawne modlitwy, które nasi  
dziadowie i pradiadowie odmawiali.

Aby tę piękną i pożyteczną książkę mógł posiadać  
każdy z naszych prenumeratorów, naznaczyliśmy  
na nią **cenę nadzwyczajnie niską,**  
a mianowicie:

Oprawna ozdobnie w czarne płótno z białymi brzegami . .	45 kop.
Oprawna ozdobnie w płótno ze złożonemi brzegami . .	50 „
Oprawna ozdobnie w skórę ze złożonemi brzegami. . .	75 „
Oprawna wytwornie fantazyjnie . . . . .	1.50 „

Życzący sobie otrzymać tę książkę pocztą dopłacają 30 kop.

## Częstochowa

Gmach Panoramy pod Jasną Górą  
Wystawa obrazów **JANA STYKI**

Wystawa obejmuje nadto obrazy:

- 1) **JEZUS CHRYSYTUS w EMAUS**—Stanisławskie-  
go i 2) **JEZUS CHRYSYTUS w OGROJCU**—Mehofera.

Wejście 30 kop.—dla uczącej się młodzieży i włościan 15 kop. Kompanie  
mogą korzystać z cen znacznie niższych za osobną umową.

# TRZY DNI ZBAWICIELA



Nie wyrzucajcie pieniędzy na wynajem

# PIANIN

KUPUJCIE JE NA WŁASNOŚĆ, DODAJĄC NIEZNACZ-  
NĄ KWOTĘ DO SUMY BEZPRODUKCYJNIE UŻYTEJ  
NA WYNAJEM.

NA ŻĄDANIE SZERSZEJ PUBLICZNOŚCI I IDĄC  
ZA PRZYKŁADEM WIELKICH MIAST ZAGRA-  
NICĄ POSTANOWILIŚMY SPRZEDAWAĆ

# PIANINA

NA ROZPLATĘ W RATACH POCZĄWSZY

➡ OD RUB. **15** MIESIĘCZNIE. ⬅

Z poważaniem Dostawca 5 Dworów Cesarskich

## C. M. SCHRÖDER

Skład Fabryczny w Warszawie, Nowy-Świat 30.

Fabryka odpowiada za dobroć instrumentów.



**WARUNKI PRENUMERATY**  
na dwutygodnik:

## „OGRODNIK POLSKI”

w Warszawie Rocznie Rb. 6. Półrocznie Rb. 3. Z przes. poczt. Rocznie Rb. 7 Półrocznie  
Rb. 3 k. 50 Cena numeru pojedynczego kop. 35.

Prenumeratę przyjmują: Administracya „Ogrodnika Polskiego“, Bagatela 3, Skład na-  
sion „Ogrodnik Polski“, Mazowiecka 11, Zakład ogrodniczy Braci Hoser, Jerozolimskie Ale-  
je 53. Franciszek Szanior, kancelarya plantacyj, Ogród Saski.

**NB.** Artykuły do „Ogrodnika” prosimy nadsyłać pod adresem redakcyi,  
Bagatela 3, lub na ręce redaktora, Ogród Saski.

**CENA OGŁOSZEŃ.** Za całą stronę rs. 12; za 1/2 strony rs. 6; za 1/4 strony rs. 3; za 1/8 strony  
rb. 1 kop. 50; za 1/16 str. kop. 75. W Przewodniku Ogrodniczym i Handlowym cena rocznego ogłoszenia  
ze zmianą dowolną, rs. 4 rocznie za wiersz druku lub jego miejsce.

# Dwór Niebieski czyli Modlitwa Ś-tej Luitgardy

z niemieckiego przełożył Ks. J. ADAMCZYK.

Cena 8 kop. z przesyłką 10 kop.



Biorący w większej ilości otrzymują stosowny rabat.

**NOWA PRACOWNIA RO-  
BÓT KOŚCIELNYCH „Św.  
JÓZEFA” w CZĘSTOCHO-  
WIE p. LEONII KOMAR.**

ROBOTY WYKONYWUJĄ SIĘ WEDŁUG PRZEPISÓW RZYMSKICH, ARTYSTYCZNIE, W CENACH PRZYSTĘPNYCH. MATERIAŁY DOSTARCZAJĄ SIĘ Z FABRYK KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.

Przyjmują się uczennice stałe i przychodzące. Częstochowa, ul. Kamienic № 23, dom p. Waśkiewicz.

**Edward Romanowicz**

**FABRYKA WYROBÓW KOŚCIELNYCH**

**W CZĘSTOCHOWIE**

ma zawsze gotowe:  
obrazy, kapy, ornaty,  
chorągwie, feretrony,  
krzyże, żyrandole, ma-  
terje, galony, frędzle,  
obrazki, medaliki i t. d.



## WAŻNA PAMIĄTKA!!

**Wieżyczki metalowe**, stanowiące podobiznę **nowej wieży klasztoru Jasnogórskiego**, służą jako pasyjki z wizerunkami i jako prespapiery do biur katolickich. Ceny przystępne dla każdego domu. Uprzywilejowane przez M. F. za № 2949 i 2845, opatrzone marką i № 2949.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna w Pracowni mechanicznej i Odlewni

**STANISŁAWA ZBIKOWSKIEGO**, Warszawa Chłodna № 8.

Skład główny na Częstochowę w Adm. „Dzwonka Częstochowskiego”. Na-  
bywać można również we wszystkich Katolickich Sklepach Częstochowskich.

## „Z życia Adama Mickiewicza”

przez **STEFANA GĘBARSKIEGO**

(popularny życiorys wieszcza naszego z portretem).

Cena księgarska rb. 1, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego” 80 kop.  
z przesyłką pocztową.